Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 10

Jak wybuchła wojna r. 1870

Liczne dyktatury naszych czasów oraz stosowane przez dyktatorów metody przypominają ustawicznie Napoleona III, jego sposób dojścia do władzy, jego sprytne fałszowanie opinji publicznej, jego ryzykowną politykę zagraniczną, zewnętrzną świetność i wewnętrzną zgniliznę jego rządów. Stąd postać „Badinguet'a" wraca w jednej książce po drugiej i narzuca się uwadze czytającej publiczności.

Ujęcie tematu zależy niestety najczęściej od naprzód obranego stanowiska, czyli od uprzedzenia. Uprzedzenia te bywają podwójne. Albo idzie o analogię z czasami bieżącemi, wystylizowaną pod pewnym szczególnym kątem widzenia, albo o obronę jednej z postaci historycznych (czasem samego cesarza, czasem kogoś innego). Na ogół widać tendencje do pewnej rehabilitacji Napoleona Małego, który za życia nie miał szczęścia do literatów.

Wiktor Hugo piętnował go z całym właściwym sobie patosem jako nędznego szalbierza, który wyzyskał swoje nazwisko wydał Francję na pastwę swych bojówek i swych kreatur. Anglik Kinglake przedstawił go równie ujemnie w swych dziejach wojny krymskiej. Pewien krytyk, będący zdania, że Napoleonowi III stała się krzywda, tłumaczy to faktem, że cesarz jednemu i drugiemu zabrał kochankę — Wiktorowi Hugo Francję, Kinglake'owi Miss Howard. Psychologię Napoleona próbował później, już z tendencją do rehabilitacji, skreślić Robert Browning w poemacie „Książę Hohenstiel-Schwangau, zbawca społeczeństwa", zbyt trudnym i zawiłym aby mógł oddziałać na szersze koła. Próbę zupełnej rehabilitacji mieliśmy niedawno i w Polsce.

Obecnie wyszły dwie angielskie książki, poświęcone temu tematowi. Krótka biografja Grahama Brooksa odznacza się tem, że jest jedynie przeglądem doskonale połączonych faktów historycznych. Autor umyślnie nie zajmuje żadnego stanowiska i ledwie czasem pozwala sobie na akord ironji, dowodzącej, że nie należy on do wielbicieli Napoleona III.

Obszerna monografja Roberta Sencourta wyszła po raz pierwszy przed trzema laty. Zawiera dużo szczegółów i odznacza się dużą sztuką pisarską. Opisy bitw wbijają się w pamięć, a i obraz starego Paryża, przekształcającego się w nowy pod ręką Haussmanna, fascynuje czytelnika.

Sam charakter cesarza traktuje autor na podstawie prawa dziedziczności. Odrzucając wersję o jego nieprawem urodzeniu, widzi w nim połączenie napoleońskiej ambicji i talentu organizatorskiego z uczuciowością rodziny Beauharnais i z kochliwością jego matki, królowej Hortensji. Te sprzeczne żywioły nie mogły złożyć się na człowieka z jednej bryły i Ludwik Bonaparte był zlepkiem przeciwieństw. Rządził przy pomocy tajnej policji i metod prowokatorskich, a marzył o wolności; pragnął podnieść dobrobyt ludu, a wyrzucał miljony na dwór i świetne festyny; grabił majątek Orleanów, a dla swych ulubieńców był nad wyraz hojny; miał impulsy dobrego serca, a w polityce nie cofał się przed niczem; pod Solferino przypominał wielkiego stryja, pod Metzem jakiegoś jenerała z operetki; doszedł ostatecznie do najwyższego stopnia nieszczerości. Podobno nie mógł wstrzymać się od szachrowania nawet przy pasjansie...

Może Sencourt bierze czasem za dobrą monetę to, co było tylko obłudnym gestem. W każdym razie można w ogólnych zarysach przyjąć jego charakterystykę cesarza. Natomiast książka ma inny błąd — autor jest zbyt wielkim wielbicielem cesarzowej Eugenji i z tego powodu zniekształca pewne fakta.

Wiadomo, że wybuch wojny r. 1870, a więc i katastrofę drugiego cesarstwa i klęskę Francji i hegemonję Niemiec na kontynencie europejskim, dla której zburzenia musiano za naszych dni przelać morze krwi, spowodowało głównie stanowisko Eugenji. Nie będąc Francuzką z urodzenia, była ona niesłychanie drażliwa na punkcie francuskiego honoru narodowego i, gdy wybuchł zatarg o sukcesję hiszpańską, wytężyła cały swój wpływ w kierunku zmuszenia Prus do ukorzenia się lub do wojny.

Dotyczący epizod jest tak znamienny dla Francji Napoleona III i dla maskowanego absolutyzmu wogóle, że warto poświęcić mu bliższą uwagę.

Dobrze gotowe do wojny Prusy wahają się jeszcze, boją się bowiem zawikłań międzynarodowych. Przecież jeżeli wina wywołania starcia będzie zbyt widocznie po ich stronie, Francja może znaleźć sprzymierzeńców. Więc ks. Leopold Hohenzollern cofnął swe pretensje do tronu hiszpańskiego. Wydaje się, że przesilenie minie szczęśliwie.

12 lipca minister spraw zagranicznych Gramont składa wizytę ambasadorowi pruskiemu baronowi v. Werther i odbywa z nim dłuższą rozmowę. Król pruski zezwolił swemu kuzynowi zgłosić kandydaturę do tronu hiszpańskiego. Byłoby pożądanem, aby teraz w jakiś sposób okazał, że aprobuje również wycofanie się księcia Leopolda. Niema mowy o żadnym nacisku ze strony Francji. Lecz jakaś enuncjacja, może w formie listu naprawiłaby stosunki. Idzie tylko o pochwalenie kroku Leopolda i o parę wyrazów przyjaznych pod adresem zaniepokojonego sąsiada...

Baron v. Werther zachowuje dyplomatyczną rezerwę. W tej chwili jawi się sam premjer Ollivier i zaczyna gorąco popierać prośbę Gramont'a, akcentując jednak wyraźnie, że idzie o dobrowolny akt kurtuazji. Aby uniknąć nawet pozoru groźby, rząd francuski prosi Werthera o podanie myśli królowi od siebie, zamiast powierzać sprawę berlińskiemu ambasadorowi Benedettiemu. Naturalnie Werther nie może nic obiecać, ale postara się, aby w Berlinie rozważono życzenia francuskie.

Wieczorem tegoż dnia odbywa się narada w St. Cloud. Gramont jest zaproszony, lecz premjer Ollivier nawet nie wie, że rozstrzyga się sprawa wojny lub pokoju. Obecni są cesarz, cesarzowa i kilka jeszcze wpływowych osobistości. Po krótkiej dyskusji Gramont otrzymuje polecenie wysłania telegramu do Benedettiego, aby ten zażądał od króla pruskiego oświadczenia, że ten przyłącza się do cofnięcia kandydatury ks. Leopolda i że na przyszłość nie pozwoli na jej ponowne postawienie.

Dalsze wypadki są znane. Bismarck wyzyskuje sposobność, fałszuje tekst depeszy emskiej, Paryż rozbrzmiewa okrzykami „Do Berlina!", niedostatecznie przygotowana Francja rzuca się w tragiczny hazard, Rosja stawia nad granicą Austrji kilka korpusów, aby zapobiec jej wmieszaniu się w wojnę — i tak dalej aż do Sedanu, ucieczki Badinguet'a, upadku Paryża, komuny, utraty Paryża, komuny, utraty Alzacji i Lotaryngji...

Wojnę spowodowano bez rady gabinetowej, bez wiedzy premjera, który w swem dziele *L'Empire Liberal* z oburzeniem pisze o 12 lipca 1870 r. i wspomina z jaką grozą dowiedział się o tem, co zaszło bez jego wiedzy.

Sencourt nie wierzy Ollivier'owi mówiąc, że przecież on sam wraz z Garmont'em tegoż 12 lipca był u pruskiego ambasadora i narzucał mu te same warunki. Jest to ze strony autora monografji widoczny brak dobrej wiary, bo warunki były właściwie inne. — Trzeba nadto pamiętać, że na radzie gabinetowej mówionoby zapewne szczerzej o stanie armji, niż na parę dni przedtem w parlamencie i może rozwianoby złudzenia cesarza i cesarzowej, ostudzając ich zapał wojenny.

Sencourt ostatecznie przypisuje całą winę Ollivier'owi. To „jego niesprecyzowana konstytucja umożliwiła Gramont'owi fatalny krok bez przyjęcia odpowiedzialności właściwie względem nikogo". Tymczasem wiadomo, że „liberalna konstytucja" Olivier'a była owocem kompromisu między jego dążeniami, a absolutyzmem Napoleona III i jego doradców. Zresztą nawet z jej punktu widzenia przedsięwzięcie decydującej akcji na gruncie polityki zagranicznej bez wiedzy premjera stanowiło krok niekonstytucyjny i bezprawny.

A. F.

Niewidzialny a straszny wróg górnika

Od czasu do czasu szpalty dzienników wypełniają się krew mrożącemi opisami strasznych katastrof górniczych, w których nieraz setki ludzi tracą życie, przeprowadzając o rozpacz i nędzę swoich najbliższych. W ustawicznym lęku przed niewidzialnym a potężnym wrogiem płynie życie górnika i jego rodziny, oczekującej codzień z niepokojem powrotu swego żywiciela i ojca z podziemnego warsztatu pracy. Tym strasznym wrogiem górnika — to gaz kopalniany.

Jak wiadomo pokłady węgla w głębi ziemi powstały dzięki wiekowemu procesowi zwęglania substancji organicznych, głównie roślinnych. Procesowi temu, odbywającemu się jeszcze i obecnie w pokładach węglowych, towarzyszy powstawanie i wydzielanie się gazów, zawierających w swym składzie węgiel, a w szczególności wytwarza się w dużych ilościach obok kwasu węglowego i tlenku węglowego, metan, zwany gazem błotnym, a przez górników gazem kopalnianym. Metan, którego cząstka jest zbudowana z atomu węgla i 4 atomów wodoru, jest gazem lżejszym od powietrza, bez barwy i bez zapachu, nie podtrzymującym palenia i oddechania, a w stanie czystym spalającym się spokojnem płomieniem. Jak widzimy srogi wróg górnika w stanie czystym, niezmieszany z powietrzem w ogólnych swych właściwościach jest zupełnie podobny do gazu świetlnego, mającego tak szerokie zastosowanie w naszem życiu. Z chwilą jednak, gdy wymiesza się z powietrzem, względnie gdy powietrze w kopalni zawiera 6—16% metanu powstaje wybuchowa mieszanina, która zapalona eksploduje, szerząc dokoła śmierć i zniszczenie.

Jak wspomnieliśmy, powstawanie i wydzielanie się gazów kopalnianych odbywa się i obecnie, będąc dowodem, że w niektórych pokładach węglowych proces zwęglania nie dobiegł jeszcze końca. Powstające gazy, wydzielając się z pokładów węglowych przedostaja się do chodników i szybów kopalnianych, gdzie mieszając się z powietrzem wytwarzają niebezpieczną mieszaninę wybuchającą przy lada nieostrożności.

W niektórych pokładach węglowych znajdują się wydrążone komory, wypełnione olbrzymią ilością gazów, pozostających zazwyczaj pod wysokiem ciśnieniem. Gdy w pobliżu takiej groty przeprowadzi się w kopalni chodnik, to pod wpływem wysokiego ciśnienia gaz kopalniany przeciska się przez porowate ściany i wypełnia chodniki. Niekiedy w takich gazowych komorach ciśnienie gazu jest bardzo wysokie, stwierdzono np. w jednej z kopalni węgla, że wynosiło ono 32 atmosfer. Gdy ściany takiej komory nie są porowate i nieprzepuszczają gazów na zewnątrz, to wówczas może się zdarzyć, że ściana oddzielająca te komorę od chodnika zostaje nagle wysadzona w kierunku najmniejszego oporu. Wyzwolony w ten sposób gaz z niezwykłą gwałtownością i niezmierną siłą ciska w głąb podziemnych korytarzy

złomy węgla, przemieniając je w pył, który wraz z gazem rozprzestrzenia się po kopalni. Te masy gwałtownie rozprężającego się gazu są niekiedy tak olbrzymie, że wypełniają całą kopalnię i przez szyby wydostają się na powierzchni ziemi.

Powietrze w kopalni zawierające do 16% metanu przedstawia groźne niebezpieczeństwo wybuchowego pożaru. Wystarczy maleńka iskierka, by wywołać katastrofalną eksplozję. Metan spala się w powietrzu niezwykle szybko, wydzielając obficie ciepło, wskutek czego następuje gwałtowne powiększenie objętości produktów spalania i przez kopalnię zaczyna się posuwać niszcząca fala wybuchu. Występują tu zatem identyczne działania, jak np. przy wybuchu dynamitu. Eksplozja gazu, jak eksplodujący dynamit niszczy i rozrywa wszystko dokoła: zabija ludzi, wyrzuca wagony



Sir Humphrey Davy

kolejek, rozrywa chodniki i zamyka wyjścia, utrudniając w ten sposób dostęp i do tych części kopalni, które bezpośrednio katastrofą wybuchu nie zostały dotknięte. Odcięci w nich od świata górnicy giną niejednokrotnie z głodu, pragnienia i braku powietrza, oczekując nadaremnie na ratunek, przebijający się poprzez zwały gruzów. I gdy przy samej eksplozji zginie nieraz kilku górników, to wskutek zasypania ginie ich nieraz setki.

Szczególnie gwałtowne są eksplozje gazów w chodnikach ślepych, zwłaszcza gdy źródło eksplozji znajduje się przy samym końcu chodnika: korytarz kopalniany działa wtedy jak lufa armatnia.

Gdy eksplozja ucichnie, a temperatura gazów powstałych przy spaleniu obniży się, wówczas objętość ich gwałtownie maleje, wytwarza się w kopalni próżnia i następuje druga część katastrofy: przez otwory szybów wdziera się do głębi kopalni gwałtowny prąd powietrza z zewnątrz, znowu siejąc dokoła spustoszenie.

Ale i nie na tem koniec.

Produktami spalenia gazu kopalnianego są para wodna i kwas węglowy, przyczem ten ostatni uniemożliwia oddychanie. Duże jego ilości zatamowując powietrze, znowu szerzą śmierć wśród górników, którym udało się uniknąć bezpośrednich skutków wybuchu.

Eksplozje gazów w kopalniach należą do najstraszniejszych nieszczęść, prześladujących górnika i to nietylko w kopalniach węgla, ale i w kopalniach soli i siarki.

Jak człowiek broni się przed tym groźnym wrogiem?

Najstarszym sposobem zwalczania klęski gazu kopalnianego było jego wypalanie, przez wywoływanie sztucznych, o słabej sile eksplozji. Dokonywali tego specjalni „fachowcy" zwani



Eksplozja gazów w kopalni

„pokutnikami". Przełomowym jednak w tej dziedzinie był wynalazek genjalnego Anglika Sir Humphrey Davy'ego, który skonstruował w r. 1815 t. zw. „lampę bezpieczeństwa", Davy'ego, różniącą się od zwykłych lamp olejowych tem, że płomień jej jest odgraniczony od powietrza zewnętrznego gęstą siatką metalową, zawierającą 14½ oczka na centimetr kwadratowy. Urządzenie to zapobiega przedostaniu się płomienia z wnętrza lampy na zewnątrz, ponieważ siatka metalowa, będąca dobrym przewodnikiem ciepła, szybko rozprowadza ciepło, obniżając temperaturę gazowej mieszaniny wybuchowej poniżej jej punktu zapłonienia.

Lampka Davy'ego ostrzega również górnika przed niebezpieczeństwem: w razie obecności gazu wybuchowego płomień jej płonie żywo, a nawet wnętrzu następują eksplozje.

Obok lampki bezpieczeństwa stosuje się do walki z gazem, silne przewietrzanie kopalni, wskutek czego niebezpieczny metan wydostaje się z kopalni na zewnątrz.

Oczywiście wprowadzenie do kopalń elektryczności było dalszym bardzo ważnym czynnikiem, zmniejszającym niebezpieczeństwo eksplozji.

Ale wszystkie te urządzenia (trudno je tu wyliczyć wszystkie) zmniejszają jedynie groźbę kataklizmu, który od czasu do czasu, mimo wszystkie usiłowania porywa ofiary z życia ludzkiego, jakby chcąc w ten sposób zadokumentować potęgę sił przyrody, z takim mozołem przez nas ujarzmianych.

—o—

Francuz o Sowietach

George Oudard - Attrait de Moscou

Według autora, wszystko co dzieje się obecnie w Sowietach, ma wybitne podobieństwo do systemu istniejącego od wieków. Zacząwszy od skrupulatnej rewizji na granicy, a skończywszy na metodach stosowanych przed dwoma wiekami przez Piotra Wielkiego. Za czasów tego monarchy, każdy Rosjanin musiał pracować, ubierać się lub bawić, stosownie do woli cara, dziś obywatel sowiecki musi bezwarunkowo stosować się do zarządzeń państwowych.

Piotr Wielki, tak samo jak Sowiety, gnębił i prześladował cerkiew prawosławną, nie wiadomo zaś kto czynił to w okrutniejszy sposób. A Europa podziwiająca tempo, w jakiem Sowiety budują wspaniałe gmachy i wprowadzają najnowsze wynalazki, jakże jest podobną do Europy z przed dwóch wieków, admirującej cywilizacyjne poczynania cara Piotra!

Gorączkowa działalność władz sowieckich, ma na celu olśnienie Europy, ale trzeba mieć prawdziwą kulturę, żeby zrozumieć, że człowieka z Zachodu razić musi urządzenie pierwszorzędnego hotelu meblami zrabowanemi w pałacach, między któremi nie brak dzieł sztuki, — gdy równocześnie w tym samym hotelu, nie można mieć czystej wody na kąpiel.

Kremlin wolno zwiedzać tylko za specjalnem pozwoleniem i w towarzystwie uzbrojonego dozorcy. Mauzoleum Lenina, odznacza się prostotą i można je uważać za klasyczny wzór nowoczesnej architektury sowieckiej. Sowiety budują wiele, przyznać im trzeba, że okazały do pewnego stopnia rozsądek, wstrzymując się od budowy drapaczy chmur. Propaganda systemu sowieckiego i krytyka stosunków panujących na zachodzie, wysuwa się stale na pierwszy plan. Naprzykład nauczyciel opowiada uczniom w szkole o kryzysie w innych krajach, pozwalając zadawać pytania. Jeden z chłopców odzywa się:

„Towarzyszu, czy w tamtych krajach można sobie kupić chleba?"

Nauczyciel jest mocno zakłopotany, ale odpowiada, że tak.

Warto być obecnym przy ślubie sowieckim. Urzęduje młoda mizerna dziewczyna, przyjmująca cudzoziemca szywnie, bo nie lubią w Sowietach ciekawości obcych. Na ścianach litografje wyszydzające obrzęd chrześcijański zaślubin. Przesuwają się pary różnego wieku i stanu. Każdy musi mieć dowód osobisty i poświadczenie, że pracuje. Podpisują dokument i na tem koniec. W tem samem biurze udzielają rozwodów i zapisują nowonarodzonych. Dziecko może nosić nazwisko ojca albo matki, stosownie do umowy. Czasem mąż przybiera nazwisko żony.

Kwestja upadku moralności okazuje zwrot ku poprawie. W klasie intelektualnej, purytanizm stał się modą. Cenzura pozwalająca tylko na czytanie dzieł Jack Londona i Curwooda, z autorów obcych — zabroniła tłumaczenia powieści „Kochanek Lady Chatterley".

Gmachy monumentalne w Moskwie są dobrze utrzymane. Sowiety dbają o efektowny wygląd centrum swej stolicy. Natomiast w bocznych ulicach domy obdrapane, złe chodniki i brud wszędzie. Leningrad ze wspaniałemi, opuszczonemi pałacami, wygląda jak miasto umarłe. Poprostu stracił rację istnienia. Pałac Szeremetiewów posiadający ogromną kolekcję dzieł sztuki, zotsał dobrowolnie oddany Sowietom. Rodzina przeważnie wyemigrowała, ale pozostał jeden jej członek zajęty obecnie w administracji, któremu wolno, gdy wstęp zapłaci — zwiedzać od czasu do czasu, dom rodzicielski.

Finansowa sytuacja Sowietów jest bardzo trudna, bo włożyły ogromne kapitały w fabryki, które przestały się już opłacać w innych krajach. Niemniej kwestja rolnicza przedstawia się groźnie. Wieśniak z głuchą nienawiścią przyjmuje Kołhozy i Sowhozy, a przestaje pracować, nie mając z tego korzyści. Biernym oporem stawia czoło komunizmowi.

Autor jako Francuz, ma mimo wszystko pociąg do Rosji. Znalazł wiele rzeczy lepiej, niżeli się spodziewał. Wyjeżdżając nie wypowiada stanowczego sądu o tym kraju, ale na usta cisną mu się słowa: Je reviendrai!

L. K....n

WITOLD ŚWIĘTNICKI

Wiatr zbrodni

Błądzi cieśniami ulic — wyrzutek sobaczy —
wiatr mroźny, oczy ostrzem oślepia i śniegiem,
dmie w licho rozespane ponad morskim brzegiem
niosąc z tawern nadbrzeżnych krzyk i śmiech pijaczy.
Zbrodnię budzi ohydną, głodną i rozpasłą,
jako krzyk strasznej zemsty, w którym serce zgasło.

I wtedy noc lodowa rzuca morskie dziwy,
potwory roztańczone w skośnej siejbie latarń,
chichotem im wtóruje rząd nadbrzeżnych kawiarń
i wiatr, jako śmierć groźny i jak ona mściwy
w tańcu grozy szaleje, tężeje od lodu,
i w świat pluje przekleństwa choroby i głodu.

O Codex Synaiticus

Prawosławny arcybiskup Synaj zwrócił się do Muzeum Brytyjskiego które nabyło od Sowietów sławną Biblję z IV w., znaną jako *Codex Synaiticus*, z żądaniem zwrotu cennej księgi jako nieprawnie posiadanej przez Rosję. Obecnie udzielił on wywiadu przedstawicielowi Reutera. Może udowodnić autentyczną korespondencją, że akt darowizny ze strony klasztoru w Synaj został niegdyś wymuszony przez carską Rosję groźbą konfiskaty dóbr. należących do klasztoru, a położonych w Besarabji. Z tego powodu również musiał zaaprobować tę darowiznę jego ówczesny poprzednik. Arcybiskup nigdy nie zrezygnuje ze swych praw i jest gotów wytoczyć sprawę przed sąd angielski. O odpowiedzi, jaką na swój telegram dostał od zarządu Muzeum Brytyjskiego, wyraził się z przekąsem: „Nie spodziewałem się rady, abym zwócił się do Sowietów. Przecież już tego próbowałem".

Jak wiadomo, za *Codex Synaiticus* zapłacono 100 tys. funtów sterlingów.

„Żółte niebezpieczeństwo"

Od niejakiego czasu zaczynają się na rynkach europejskich dziać dziwne rzeczy.

Oto w Sheffield, gdzie mieszczą się słynne fabryki, zaopatrujące w noże całą Anglię —pojawiają się noże obcej prowenjencji, wyrobione z najlepszej stali a kosztujące o połowe taniej od fabrykatów angielskich.

Oto w Belgji, posiadającej słynne fabryki rowerów. dostać można rowery obcej marki, równie dobrze po 35 franków za sztukę.

W ojczyźnie zegarów i zegarków, w Szwajcarji, oferuje się zegary po cenie 36.— franków szwajc. za kilo; w Holandji, gdzie znajduje się centrala fabryk Philipsa, — żarówki elektryczne conajmniej równej jakości, jednak importowane, sprzedaje się o 30 centimów taniej na sztuce, niż żarówki Philipsa.

A maleńkie żarówki do latarek kieszonkowych, które fabryki niemieckie oferują po pięć fenigów, — dostać można już po cenie 2 fenigów sztuka — sprowadzane z zagranicy.

Wszystkie te i setki innych artykułów pochodzą z jednego wspólnego źródła: z Japonji.

Przemysł japoński stanął do konkurencji na rynkach światowych, przyczem, — rzecz charakterystyczna, — konkurencja ta dotyczy przedewszystkiem artykułów, stanowiących dotychczas niejako monopol i specjalność każdego z odnośnych krajów.

* * *

Tej samej metody trzyma się Japonja w stosunku do innych części Świata. A więc w Stanach Zjednoczonych zabawki japońskie wypierają zwycięsko towar niemiecki, dotychczas niemal bez konkurencji. W Kanadzie rzuca Japonja masowo na rynek wyroby kauczukowe z fabryki w Singapore, stanowiącej własność Japończyków, — konkurując zwycięsko z wyrobami wielkiej fabryki Canadian Goodrich Comp. W Indjach, gdzie jeszcze w roku 1912 Anglja w 98% pokrywała zapotrzebowanie na wyroby bawełniane, — w roku 1931 już 44% importu przypadło na wyroby japońskie.

I o ile konkurencja ta, zwłaszcza w Europie i w Ameryce północnej, dzięki wysokim cłom ochronnym, nie przedstawia na dłuższą metę poważniejszego niebezpieczeństwa, a osiągnięte przez przemysłowców japońskich sukcesy mają znaczenie raczej psychologiczne, moralne, — to na Dalekim Wschodzie, na wybrzeżach Pacyfiku, Oceanu Indyjskiego, od Australji aż po morze Czerwone i wschodnie wybrzeża Afryki, towar japoński zdobywa coraz szersze pole zbytu, wypierając coraz skuteczniej produkty angielskie.

Jeżeli tedy mówimy o „żółtem niebezpieczeństwie" na polu ekonomicznym, — to mamy tu na myśli przedewszystkiem Anglję, najpoważniej w tym wypadku zagrożoną.

* * *

Jakie są przyczyny i jakie podłoże tej gwałtownej ekspansji ekonomicznej Japonji?

Najpierw kilka cyfr statystycznych. W roku 1879 Japonja liczyła 35½ miljona ludności, — w dwadzieścia lat później 44 miljony; w roku 1914 doszła do cyfry 54 miljonów, obecnie zaś przekracza już liczbę 65 miljonów.

Naturalny przyrost ludności, wyrażający się w roku 1873 cyfrą 24 od tysiąca, — doszedł w roku 1930 do 34.4 od tysiąca.

Gdzie pomieścić i czem wyżywić te 65 miljonów ludzi? Biorąc pod uwagę samą Japonję (bez Formozy, Korei, Sachalinu, Mandżurji i Jeholu) dojdziemy do przekonania, że wykazuje ona gęstość zaludnienia 171 ludzi na kilometr kwadratowy!

Co prawda z państw europejskich jeszcze wyższą gęstość zaludnienia wykazują Belgja (259), Holandja (223) i Anglja (182), — ale są to państwa wysoko uprzemysłowione i posiadające ogromne kolonje.

A jak wygląda emigracja w Japonji? Dziś prawie wszystkie państwa świata zamknęły swe bramy przed emigracją japońską — i wedle ostatnich statystyk nie więcej jak 700—800 tysięcy Japończyków żyje poza granicami swej ojczyzny, — w czem około 300 tysięcy w Azji, reszta w Ameryce i na Oceanji.

Pozostaje jeszcze sprawa kolonizacji „wewnętrznej", tj. na terenach zdobytych lub anektowanych przez Japonję począwszy od roku 1895.

I tutaj emigracja nie przybrała znaczniejszych rozmiarów: ilość Japończyków na Sachalinie oceniają na sto tysięcy, na Formozie około 200 tysięcy, w Mandżurji również około 200 tysięcy, a na Korei około 500 tysięcy. Razem zatem około miljona, — a więc mniej, niż wynosi naturalny przyrost ludności w ciągu jednego roku.

* * *

Problem przeludnienia Japonji staje się równie piekącym jak trudnym do rozwiązania. Prawda, Japończyk nie jest wymagającym i umie się zadowolnić małem; wystarczy mu parę garstek ryżu na całodzienne pożywienie. Ale i te parę garstek trzeba wyprodukować w kraju, — o ile nie chce się sprowadzać go z zagranicy. I trzeba ów ryż dać wszystkim, o ile chce się uniknąć grożącej katastrofy.

Tedy rząd japoński, pod hasłem autarkji ekonomicznej, opracował zakrojony na szeroką miarę plan stworzenia i rozwinięcia przemysłu narodowego, z perspektywą ekspansji ekonomicznej.

Na tej drodze można będzie nadwyżką bilansu handlowego, płynącą z eksportu, obrócić na zakupno i import tych artykułów żywnościowych, których brak na miejscu, a które są niezbędne do wyżywienia 65-miljonowej ludności.

Plan ten dało się zrealizować tem łatwiej, ile że w roku 1931 dewaluacja yena (40 proc. w stosunku do funta szterlinga) pozwoliła skutecznie konkurować towarom japońskim na rynkach zagranicznych.

To też w ciągu ostatnich lat przemysł japoński doszedł do stadjum olbrzymiego rozwoju.

Jedyny jednak, a ważny szkopuł stanowi brak potrzebnych surowców. I dopiero pod tym kątem widzenia zrozumiałem się staje, czemu w ciągu ostatnich dwudziestu lat zajmuje Japonja zbrojną ręką lub anektuje takie olbrzymie tereny jak Korea, Mandżurja, a ostatnio chińską prowincję Jehol.

Bo oto Jehol i Mandżurja posiadają olbrzymie bogactwa przyrody: urodzajną ziemię, nadającą się do uprawy zbóż, olbrzymie pokłady rudy żelaznej; — bo w Mandżurji a po części i w Korei można uprawiać bawełnę, którą dotychczas musiała Japonja sprowadzać głównie z Indyj. Bo wreszcie w Mandżurji projektowaną jest hodowla na wielką skalę owiec, celem zapewnienia fabrykom japońskim wełny krajowej.

Plan to, zakrojony na wielką skalę, wymagający szeregu lat do zupełnego zrealizowania. A niewątpliwie napotka on na liczne i poważne przeszkody ze strony innych państw, przedewszystkiem Anglji, której pozycja na rynkach Wschodu już dzisiaj skutkiem ekspansji japońskiej jest poważnie zagrożona.

I jeżeli Anglja wraz z kolonjami, jeżeli Stany Zjednoczone i kolonje holenderskie odgrodzą się barjerami celnemi od Japonji, kładąc tamę tej ekspansji ekonomicznej, jak już poprzednio zahamowano emigrację japońską, — sytuacja państwa „Wschodzącego Słońca" stałaby się wręcz groźną.

Na szczęście pozostaje jej jeszcze najbliższy sąsiad, Chiny, przedstawiający olbrzymie, a niewyzyskane dotychczas należycie, pole zbytu. I jeżeli w ostatnich latach, skutkiem tarć politycznych, eksport japoński znacznie się zmniejszył, — to jednak nie ulega wątpliwości, że w niedługim czasie stosunki handlowe wrócą do dawnej normy, Chiny bowiem zbyt silnie są związane i zbyt zależne od handlu i przemysłu japońskiego, by zdołały się uwolnić od tej supremacji ekonomicznej swego sąsiada.

—o—

Twierdza krzyżowców

Tylko człowiek, pozbawiony dokładniejszych wiadomości o średniowieczu, może wyobrażać je sobie jako okres panowania brutalnej siły. Nawet sztuka wojenna stała wysoko i istnieją godne uwagi analogie między ówczesnemi a dzisiejszemi metodami. Jak obecnie, odpowiednie uzbrojenie dawało przy umiejętności jego użycia olbrzymią przewagę. Wysoko też stała sztuka fortyfikacyjna. I nie należy jej lekceważyć z tego powodu, że nie znano prochu. Trudniej wprawdzie było burzyć mury, ale też łatwiej było podsuwać się pod nie, skoro broniły ich nie armaty i karabiny, lecz łuki, kusze i machiny do rzucania pocisków.

Niewiele zachowało się twierdz z w. XII i XIII, w których sztuka wojenna średniowieczna doszła do szczytu. We Francji najwspanialszym zapewne okazem był Chateau Gaillard, wzniesiony przez Ryszarda Lwie Serce nad Sekwaną w Andelys i zwany przez niego ukochanem dziecięciem, a wydarty później jego bratu, Janowi Bez Ziemi, po homeryckiem iście oblężeniu przez Filipa Augusta. Za Château Gaillard poszła wkrótce cała Normandja. Potężne zamczysko doczekało XVII stulecia, aby paść ofiarą polityki kardynała Richelieu, który konsekwentnie łamał wszystko, co mogło przeciwstawić się absolutyzmowi monarszemu. Pozostały jedynie schrony, wykute w skałach i garść ruin.

Francja nie posiada dziś na własnem terytorjum dobrze zachowanej warowni z tego czasu, lecz otrzymała ją przynajmniej w Syrji, którą zarządza na podstawie mandatu Ligi Narodów. Niedawno ofiarowano Republice na własność t. z. Krak des Chevaliers (Krak oznacza w języku arabskim twierdzę).

Od pierwszej wyprawy krzyżowej istniało w Syrji królestwo rycerstwa łacińskiego ze stolicą w Jerozolimie. Później Jerozolima uległa naporowi Seldżuków, ale zmniejszone państwo trwało dalej i dzielnie broniło się do początków XIII w., zasilane zastępami krzyżowców, które nieraz odnosiły zwycięstwa, ale nie mogły odwrócić losu. Obronę terytorjum oparto na systemie twierdz — i najsilniejszą z nich był ów Krak, zwany również przez Arabów Jamra al Frangi (Płomień Franków).

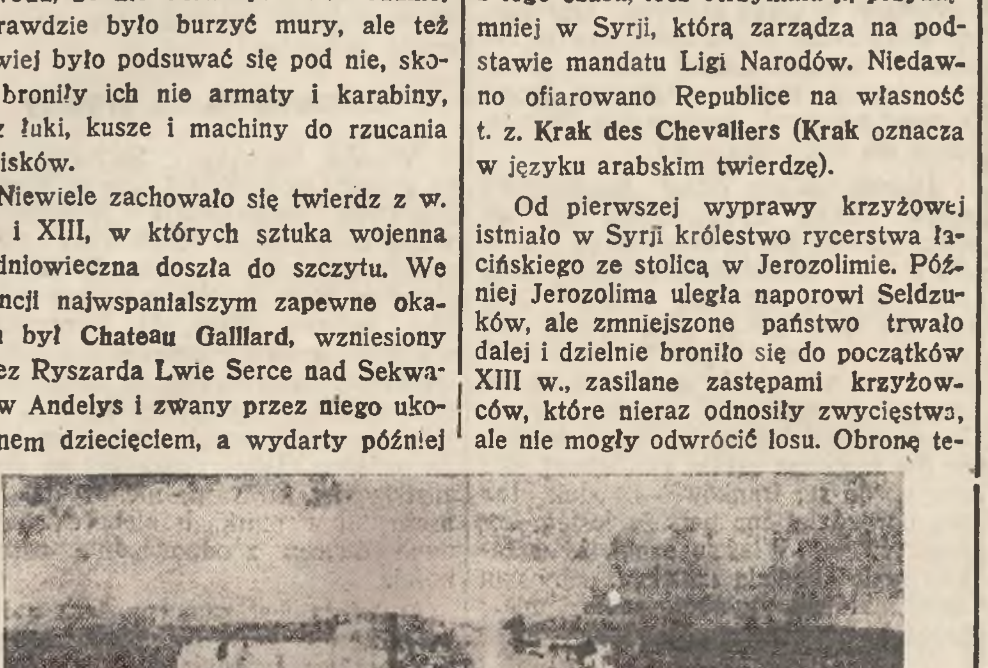
Wybrano ważny punkt strategiczny, mianowicie drogę, jaka otwiera się od położonego w odległości 50 km. jeziora Homs ku Trypolisowi. Wzgórze, opadające w dół stromemi urwiskami, podwyższono sztucznie o 20 metrów i na tej podstawie wzniesiono potrójne grube mury. Szereg wież ze strzelnicami miał utrudniać zbliżenie się do nich. Nad całą budowlą panuje zbudowane w środku ogromne zamczysko w stylu romańskim. Burgundzką odmianę tego stylu reprezentuje kaplica, która długo była meczetem, a teraz zapewne stanie się napowrót kaplicą. W lochach pod nią spoczywają zwłoki wielu krzyżowców, przedewszystkiem sławnego Godfryda de Joinville, którego współcześni sławili jako wzór bohatera, a który po długoletnich bojach trzeciej i czwartej krucjaty osiadł w Krak, ażeby tam dokonać żywota.

Wielka sala rycerska zbudowana jest w stylu romańsko - szampańskim. Nad wejściem widnieje napis:

Sit tibi copia,
Sit sapientia,
Formaque detur,
Inquinat omnia sola
Superbia si comitetur.

(Możesz mieć bogactwo. mądrość i piękność, wszystko popsuje pycha, jeśli będzie im towarzyszyła).

Za czasów zarządu francuskiego w Syrji przeprowadzono restaurację Krak des Chevaliers, bacznie jednak zwracając uwagę, aby nie nadać warowni ani cienia wyglądu nowożytnego. Dotychczas zajmowało ją paruset bezdomnych Syryjczyków — i jeden, jedyny Francuz, porucznik, zarządzający okręgiem, liczącym 35.000 ludności.



„Krak des Chevaliers"

Jan Szarzyński.

Jak zbadano Niger

Przed kilku tygodniami wyszedł tu życiorys podróżnika szkockiego, który pierwszy zbadał bieg Nigru. O istnieniu rzeki wie już coś Herodot, ale dwudziestu kilku wieków było trzeba do ustalenia przez europejczyków pewnych faktów co do niej. Że płynie na wschód, wiedziano, ale często uważano ją za dopływ Nilu, to znów twierdzono, że gubi się ona w piaskach pustyni. W drugiej połowie XIV. stulecia dotarł do Timbuktu Ibn Batula i odbył krótką podróż Nigrem. W roku 1790 wybrał się na odkrycie ujścia rzeki angielski major Daniel Houghten, lecz zginął, zanim do niej dotarł. W kilka lat po nim przedsięwziął szczęśliwszą wyprawę Mungs Park.

Jego biograf, Lewis Granie Gibbon, nie mógł wyzyskać wszystkich źródeł. Wspomina o korespondencji, którą dano mu do przeczytania, nie pozwalając ani z niej skorzystać, ani nawet wymienić, w czyich rękach się znajduje. Nadto metoda Gibbona nie jest bez zarzutu. Używa on często najniepotrzebniej ironicznego tonu. wyszydzając np. religijność Parka lub jego czułość na niedolę ludzką. Z tem wszystkiem książka daje dobry obraz podróży dzielnego Szkota, który postanowił sobie zbadać i opisać Niger. Okazał w tem przedsięwzięciu niesłychaną wytrwałość, a w drugiej swej wyprawie dotarł prawie do delty Nigru.

Park wybrał się do Afryki w roku 1795, obierając drogę od ujścia Gambji, a później korzystając z pomocy handlarzy niewolników. Dostawszy się na pustynię, posuwał się naprzód z wielkim trudem. Stracił konia i dwóch niewolników którzy mu towarzyszyli, a rzeczy, jakie posiadał, a nawet ubranie, jakie miał na sobie, obracał kolejno na prezenta. Co kilka dni przybywał do nowego państwa, a pierwszym warunkiem tolerowania przybysza przez króla murzyńskiego są dary. Park miał na sobie niebieską kapotę z błyszczącemi guzikami. Obcinał jeden po drugim i ofiarowywał je afrykańskim monarchom, to znów zapłacił kilkoma murzynkom za wskazanie drogi. Bardzo wymagającym był król Bondu. Trzeba mu było oddać i samą kapotę i parasol.

Park powędrował dalej w kamizelce, pozbawionej guzików prócz jednego. Ten ściągnął uwagę zbójców, którzy napadli przedsiębiorczego Szkota w Kuina. Ocięli guzik i zabrali, ale namyśliwszy się, ściągnęli z ofiary i kamizelkę. Wogóle obdarli go do naga, dając w zamian dwie szmaty. Park błagał tylko aby mu oddano kapelusz i stało się zadość jego życzeniu. Był to wypadek bardzo szczęśliwy, bo zaszył tam notatki.

Emir Lukmaru uwięził podróżnika, który spędził kilka miesięcy wśród cierpień fizycznych i moralnych. Ludność bawiła się nim okrutnie, szydząc z białego człowieka, kopiąc go i plując na niego. Do jego chatki zapędzano świnie, zwąc je chrześcijańskiemi zwierzętami. Kobiety były jeszcze gorsze od mężczyzn. Wygłodniały, poraniony, osłabiony, Park ani razu nie wypadł z równowagi, aż uwolniony, powędrował dalej na wschód, nagi i bezbronny.

I teraz szczęście odwróciło się. Lwy i wilki uciekały przed białym człowiekiem, to samo przeważnie czynili murzyni. Niektórzy jednak traktowali podróżnika życzliwie. W pewnej wsi kobiety ułożyły pieśń o nim:

Wichry wyły i deszcze padały.
Biedny biały, słaby i znużony,
Przyszedł i siadł u nas pod drzewem.
Nie ma matki, by mu dała mleka,
Nie ma żony, by dlań mełła zboże.
Chór:
Ulitujmy się nad białym człekiem,
Biały człowiek przecie nie ma matki.

Jakiś murzyn z innej wsi ostrzygł Parkowi pół głowy, aby włosy zużytkować w celach czarodziejskich. Inny nakarmił go, żądając zato jakiegoś przedmiotu, który posłużyłby do zamówienia choroby. Park napisał mu na tabliczce zaklęcie. Murzyn zmył atrament i wypił go z wodą, a dla wszelkiej pewności wylizał jak najsumienniej tabliczkę.

21 lipca 1796 dotarł Park do Sego i jako pierwszy europejczyk ujrzał Niger. Wracał inną drogą, kierując się na południe. Przeszedł przytem znów szereg niebezpieczeństw i byłby prawdopodobnie zginął, gdyby nie handlarz niewolników Karfa, który przyjął go do swojej karawany. Park miał sposobność napatrzeć się na okrucieństwa, jakich dopuszczali się kupcy „czarnej kości słoniowej". Opowiada, że gdy pokąsana przez pszczoły dziewczyna nie mogła iść, popędzano ją batem, ale następnego dnia, przekonawszy się, że prawdopodobnie umrze wkrótce, obdarto ją do naga i w łańcuchach zostawiono na samotne skonanie. Mimo to Park odmówił później udziału w ruchu za zniesieniem niewolnictwa. Za wiele zawdzięczał Kafrze i jego kolegom.

Wróciwszy w roku 1797 do Szkocji, Park spisał dzieje swej wyprawy, ożenił się później i zaprzyjaźnił za Scottem i osiadł w Peebles jako lekarz. Potem. Był już ojcem czworga dzieci, gdy wybrał się ponownie do Afryki. Postanowił ujrzeć i opisać cały bieg Nigru aż do ujścia.

Tym razem poczynił gruntowne przygotowania i wyruszył na czele licznej ekspedycji. Miał z sobą lekarza, 35 żołnierzy, dwóch marynarzy, oficera artylerji i czterech cieśli. Niestety jeden po drugim z tych ludzi ulegał zabójczemu klimatowi.

Dotarto po czterech miesiącach do Nigru, lecz tylko w kilkunastu ludzi. Jedyny pozostały cieśla zbudował mały statek, który ochrzczono Joliba i spuszczono na wodę, aby płynąć z prądem. Raz po raz atakowali podróżników murzyni na swych łakkich łódkach, lecz uciekali przed ogniem armatnim.

Król krainy Hussa wpadł we wściekłość, dowiedziawszy się o przybyciu cudzoziemców, którzy nie prosili go o pozwolenie podróży i nie złożyli żadnego daru. Wysłał więc zbrojnych ludzi celem urządzenia zasadzki w miejscu, gdzie rzeka była bardzo wąska. Joliba wpadła podczas walki na skałę, a dzicy skorzystali z momentu zamieszania i dopadli statku, strzelając z łuków i rzucając włóczniami. Dwaj ostatni biali ludzie rzucili się do rzeki i zginęli w jej falach. Tylko jeden niewolnik uszedł z życiem.

Tak spełniła się zła wróżba, jakiej Park doznał podczas ostatniej przejażdżki konnej w towarzystwie Scotta. Koń podróżnika, mającego wkrótce odpłynąć do Afryki potknął się, a poeta rzekł: „Obawiam się, Mungo, że to zły omen". — „Złe wróżby sprawdzają się na ludziach, którzy na nie zwracają uwagę", odparł Park. Lecz omen sprawdził się podczas wyprawy.

A. E.

O „raku smołowym"

Jaka jest właściwa geneza raka, tej groźnej choroby, z którą dotychczas bezskutecznie walczy medycyna, — dotychczas nie zdołano ustalić.

Istnieją na tym punkcie rozmaite teorje, z których jako najpoważniejsza utrzymuje się dotychczas teorja Virchowa, w myśl której powstawanie tego złośliwego nowotwora jest wynikiem stałego i długotrwałego drażnienia organizmu, czyto przez jakieś czynniki chemiczne lub termiczne, czy poprostu drogą mechaniczną. Na poparcie tej teorji przytacza się cały szereg faktów znanych doskonale lekarzom, a więc: rak wargi dolnej u ludzi palących fajki, zmiany rakowe na skórze rentgenologów, rak ust u ludzi żujących betel, — i wreszcie „rak smołowy".

Ten ostatni występuje u ludzi, mających stale do czynienia ze smołą, a właściwie, ściśle mówiąc, z mazią pogazową, otrzymywaną jako produkt uboczny przy fabrykacji gazu świetlnego.

Z drugiej zaś strony stwierdzono na podstawie licznych doświadczeń przeprowadzonych na zwierzętach, iż przez systematyczne drażnienie smołą można u zwierząt tych w miejscu drażnienia wywołać powstanie zupełnie typowego raka „smołowego", nie różniącego się niczem od „normalnego" raka, ani pod względem budowy anatomicznej, ani złośliwości i zdolności tworzenia przerzutów.

Fakt ten zdaje się w bardzo silnym stopniu potwierdzać trafność teorji wysuniętej przez Virchowa.

* * *

Oczywiście liczni uczeni, zainteresowani temi eksperymentami, podjęli badania, celem stwierdzenia, które to specjalne składniki mazi pogazowej uważaćby należało za czynniki wywołujące raka.

Destylując maź pogazową otrzymuje się, zależnie od temperatury, w jakiej odbywa się destylacja, cały szereg rozmaitych „olejów", z których frakcję, wrzącą w temperaturze najwyższej, bo ponad 270^0 stanowi tzw. olej antracenowy.

Otóż niedawno dwaj uczeni angielscy, Cook i Kenneway zdołali z oleju antracenowego uzyskać szereg węglowodorów w stanie chemicznie czystym (antracen i fenatren), które aplikowane szczurom i myszom we formie zastrzyku lub pędzlowania skóry, wywołują typowe objawy raka, z przerzutami w gruczołach, płucach itp. Co więcej, rak wywołany sztucznie tą drogą, daje się przeszczepić na zdrowe zwierzęta.

* * *

Doświadczenia te, same w sobie już bardzo interesujące, nabierają jednak szczególnej wagi w związku z innemi faktami. Oto antracen i fenatren posiadają tę samą budowę chemiczną, mianowicie tzw. rdzeń fenatrenowy, jaki znajdujemy między innemi we witaminie D, w kwasach żółciowych, cholesterolu i w innych związkach chemicznych, mających dla organizmu ludzkiego pierwszorzędne znaczenie biologiczne.

Nasuwa się tedy pytanie, czy która z tych ciał — przy pewnych warunkach — nie może przetworzyć się w substancję, dla organizmu szkodliwą, bo mogącą wywołać raka.

Nie wdając się w szczegóły, zrozumiałe i dostępne tylko fachowcom, zaznaczyć musimy, że ostatnie badania Cooka i Doddsa udowodniły teoretycznie możliwość podobnej przemiany. Dodds bowiem zdołał drogą syntezy uzyskać z mazi pogazowej (a więc z ciała nieorganicznego) węglowodor o właściwościach wybitnie rakotwórczych, a zbliżonych zarówno w składzie chemicznym jak i w działaniu do jednego z ważnych hormonów organizmu ludzkiego, folikuliny.

Doświadczenia te nie rozwiązują jeszcze definitywnie zagadnienia powstawania raka u ludzi. W każdym jednak razie pozwalają na wysunięcie uzasadnionego wniosku, że i w organizmie ludzkim, pod wpływem takich czynników jak np. promienie ultra-fioletowe lub promienie radu mogą zachodzić pewne przemiany, podobne lub analogiczne do tych, jakie Dodds zdołał wywołać w swoich doświadczeniach chemicznych.

(kr.)

Ciekawostki ze świata

Z paryskiego rynku obrazów

Ceny dzieł sztuki spadły w Paryżu ogromnie w ciągu kryzysu. Obrazek, za który brano przed kilku laty 10 tysięcy fr. kosztuje dzisiaj zaledwie kilkaset i jeszcze trudno o nabywce. Jedna z gazet przynosi następującą historję, która ma być prawdziwa:

Pewien malarz oddał handlarzowi sztuki obraz, upoważniając go do sprzedaży za każdą cenę ponad 200 fr. (70 zł.). Po jakimś czasie handlarz uwiadomił artystę, że jest amator, lecz ofiaruje tylko 150 fr. „Nie mógłby pan zagrać na jego ludzkich uczuciach? Niech mu pan powie, że jestem ciężko chory, że umieram!" rzekł malarz. Po paru godzinach handlarz doniósł, że ów mecenas sztuki zmniejszył swą ofertę do stu franków. — „Jak to? Nie powiedział mu pan, że jestem konający?" — „Właśnie uznał, że w takim razie odpada nadzieja, aby pan dalej malował, zdobył sobie imię i przez to wzrosła cena tego obrazu."

Koty stambulskie

Niegdyś słynął Konstantynopol, a raczej, jak dziś brzmi oficjalna nazwa, Stambuł z obfitości psów bezpańskich. Dzisiaj taką samą plagą są koty, gnieżdżące sie głównie w ruinach spalonych i nieodbudowanych dzielnic. Dziesiątki tysięcy tych zwierząt oddają mieszkańcy corocznie towarzystwu opieki nad zwierzętami na śmierć bezbolesną mimo tego liczba kotów jest coraz większa i przewyższa obecnie cyfrę ludności. Obliczono też, że na jednego psa przypada co najmniej 20 kotów.

Konsultacja na granicy

Wioska bawarska Suchang leży na granicy austrjackiej części Tyrolu. Niedawno zachorowała jednemu z wieśniaków krowa. Najbliższy weterynarz mieszka w Austrji, ale za paszport płaci się 1000 marek niemieckich (z górą 2000 zł.) Pomysłowy właściciel krowy zatelefonował jednak do weterynarza i nastąpiła konzultacja, przy której ściśle przestrzegano, aby nikt nie przekroczył terytorjum swego państwa. Weterynarz był na ziemi austrjackiej, krowa na niemieckiej. Honorarjum w markach niemieckich podano również z odpowiednią ostrożnością.

Anegdota jest zabawna, lecz należy podejrzewać, że zmyślono ja w celu propagandy Anschlüssu.

Cichy ślub

Gazety doniosły niedawno o najcichszym ślubie, jaki odbył się w panującej rodzinie. „Królowa Alja poprostu opuściła dom ojca i zamieszkała w pałacu króla Iraku".

—o—

Czy wąż morski jest tylko legendą?

Wszelkie opowieści o wężu morskim przyjmuje się zasadniczo z pobłażliwem niedowierzaniem. Utarło się już bowiem ogólne przekonanie, iż legendarny ten potwór wylągł się pewnego pięknego poranka w fantazji dziennikarza, by co pewien czas — zwłaszcza w okresie kanikuły — pojawiać się regularnie... na szpaltach dzienników.

A zatem — bajki, legenda? Pamiętać jednak trzeba, że każda legenda ma swoje pierwotne źródło w jakimś realnym, rzeczywistym fakcie, może z biegiem lat odpowiednio tylko opracowanym, czy przerobionym. A legend na temat węża morskiego spotykamy tyle w tak rozlicznych warjacjach, iż mimowoli dochodzi się do przekonania, że muszą one mieć jakiś realny podkład.

Reprodukcje węża morskiego — czasem zupełnie naiwne — spotkać można na starożytnych monetach fenickich, równie dobrze jak na meksykańskich rzeźbach czy wazonach japońskich lub haftach anamickich. I co ciekawsze: wszystkie te rysunki w głównych zarysach są do siebie zupełnie podobne.

* * *

Ciekawsze jeszcze są opisy tego legendarnego potwora, opisy sporządzone przez ludzi zupełnie wiarygodnych, którzy widzieli go na własne oczy.

Około roku 1550 arcybiskup Upsali Olaus Magnus opisuje go jako zwierzę, mierzące około dwustu stóp długości, pokryte grubą łuską. W roku 1656 pastor protestancki Mikołaj Gramins opowiada, iż widział węża morskiego, kiedy na drodze do morza przewracał i niszczył spotykane po drodze drzewa i chaty.

Zagadnienie istnienia węża morskiego zainteresowało wybitnego uczonego, dyrektora król. Towarzystwa zoologicznego w Hadze, dr. J. Oudemans'a, który w roku 1892 wydał w Londynie duże dzieło p. t. „The Great Seaserpent".

W dziele tem zebrał on kilkadziesiąt obserwacyj poczynionych w okresie czasu od 1522 do 1890 roku. Zgóry odrzucił wszystkie wypadki wątpliwe, ograniczając się tylko do notowania spostrzeżeń, poczynionych przez osoby poważne i zasługujące na wiarę.

Tak więc w roku 1819 „United Service Journal" podaje, iż cały szereg osób na plaży w Nahant zauważył płynące po morzu jakieś olbrzymie zwierzę o wydłużonem cielsku, a ruchach przypominających węża lub węgorza.

Dnia 6 sierpnia 1848 kapitan i oficerowie fregaty „Doedalus" spostrzegają w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei jakieś olbrzymie zwierzę, z kształtu podobne do węża, płynące na powierzchni morza ruchem falistym.

Podobne zupełnie spostrzeżenia notuje niejaki John Parsons, kupiec z Albany, który znajdując się wraz z kapitanem parowca „Lotta" na mostku komendanckim, zauważył wyłaniający się nagle z morza olbrzymi łeb jakiegoś potwora, o cielsku grubszem od komina okrętowego.

Porucznik francuskiej marynarki wojennej Lagrésille, komendant kanonierki „Avalanche", notuje dwukrotnie w dzienniku okrętowym, iż w roku 1897 i 1898, w pobliżu zatoki Along, spostrzegł płynące na morzu obok siebie dwa olbrzymie zwierzęta, długości około 20 metrów, posuwające się po powierzchni wody ruchem wężowym. Jak stwierdziła zgodnie cała załoga kanonierki, potwory te posiadały duży owalny łeb, a na grzbiecie sterczące ostre kości kręgosłupa.

W temże samem prawie miejscu spotyka znów węża morskiego w r. 1904 komendant francuskiej kanonjerki „la Decidée", a w parę dni po nim komendant krążownika „Chateau Renault. — Opisy owego potwora są niemal identyczne.

Od tego czasu wiadomości o pojawieniu się węża morskiego powtarzają się coraz częściej. Widziano go i w pobliżu Brazylji i na Oceanie Indyjskim w Kanale Mozambickim.

Co więcej: w roku 1868 na wybrzeżu Orkadów zaś w marcu 1893 na odludnej wyspie Suwarowa, marynarze przepływający tamtędy okrętów zauźyli leżące na brzegu ciała jakichś dwóch nieznanych zupełnie zwierząt, długości około 20 metrów, a przypominających kształtem jakieś olbrzymie węże.



Wąż morski atakujący statek (Rysunek z XVII w.)



Wąż morski płynący. (Rysunek zrobiony przez załogę fregaty „Doedalus" (1848)

Ciała te jednak znajdowały się już w stadjum zupełnego rozkładu, a bijący od nich nieznośny odór był tak silny, że niepodobna było podejść bliżej i zbadać dokładniej owe dziwne zwierzęta.

* * *

Czy zatem wąż morski rzeczywiście istnieje? Zdaniem uczonych zoologów jest to rzeczą zupełnie możliwą. Wąż morski, — taki jakim przedstawia się w opisach i rysunkach ludzi, którzy go widzieli, — nie ma w sobie absolutnie nic monstrualnego. Budową ciała przypomina jakiegoś olbrzymiego węgorza. Co się zaś tyczy jego olbrzymiej wielkości, — to ostatnie lata dowiodły, iż głębiny morza kryją w sobie przeróżne potwory o wymiarach gigantycznych niekiedy. Nasza technika rybołówcza nie pozwala nam dotrzeć do tak znacznych głębokości — i tem się tłómaczy, że dotychczas o tych potworach głębin morskich mamy bardzo słabe i ogólnikowe tylko pojęcie. Czy jednak nie jest rzeczą możliwą, iż któryś z tych potworów wynurza się od czasu do czasu na powierzchnię wody? A przygodne obserwacje poczynione przy tej sposobności, — dziwnie ze sobą zgodne, — każą wnioskować, że legendarny „wąż morski" nie jest tylko fantastyczną legendą...

(R.)

Wynalazca litografji

Temi dniami upłynęło 100 lat od daty śmierci Alojzego Senefeldera, wynalazcy sztuki litograficznej. Senefelder, urodzony w Pradze, po długich i mozolnych próbach doszedł wreszcie w roku 1798 do wynalazku litografji, nazywanej „drukiem chemicznym".

We dwa lata później jedzie do Wiednia; by tam uzyskać rodzaj patentu na swój wynalazek i urządzić pierwszy zakład litograficzny.

Sprawy potoczyły się trybem, niemal utartym i zwykłym, o ile idzie o wszelkie nowości: wydelegowana przez wiedeńską Akademję specjalna komisja wyraziła się o nowym wynalazku bardzo krytycznie, nie rokując mu żadnej przyszłości. Drukarze, rytownicy, zaprotestowali energicznie przeciw tej inowacji. Ostatecznie, po długich debatach skończyło się na tem, że Senefelder uzyskał tylko licencję na prowadzenie swego przedsiębiorstwa.

Znaleźli się jednak ludzie, którzy zdawali sobie sprawę z właściwego znaczenia i całej doniosłości tej nowości, — w szczególności hrabia von Saurau oraz wysoki dostojnik dworski Hartl von Luchsenstein, który kosztem 40 tysięcy florenów urządził we Wiedniu przy Kaiserstrasse pierwszy wielki zakład litograficzny. Wielki rozwój tego zakładu datuje się od chwili, gdy Senefelder wszedł w bliższy kontakt z wielkim przemysłowcem angielskim, Thorntonem, właścicielem wielkiej tkalni maszynowej pod Wiedniem. Technika litograficzna znalazła teraz olbrzymie zastosowanie przy drukowaniu deseni na materjałach, dając ogromną oszczędność pracy, czasu i kosztów.

Senefelder zostaje dyrektorem fabryki, której produkcja rośnie z dnia na dzień. Z chwilą jednak wprowadzonej przez Napoleona blokady kontynentalnej i odcięcia Anglji od fabryk angielskich, fabryka zaczęła upadać w szybkiem tempie. Hartl stracił cały swój majątek, a Senefelder wraca do Monachium niemal bez grosza.

Fortuna zdawała mu się uśmiechać w jakieś piętnaście lat później. Przybywa do Wiednia na specjalne zaproszenie, przyjmowany z należnemi honorami, — i urządza zakład litograficzny dla kanclerza Metternicha. Gdy mu jednak zaproponowano objęcie posady dyrektora tajnej drukarni państwowej, — Senefelder odmawia. Ważniejszą dla niego jest dalsza praca i doświadczenia w kierunku udoskonalenia swego wynalazku.

Raz jeszcze nazwisko wynalazcy staje się głośnem. Było to w roku 1809, kiedy Napoleon zetknął się z królem bawarskim Maksymiljanem w Dillingen, obiecując mu znaczne powiększenie terytorjalne królestwa, jako przeciwwagę wobec rosnącej potęgi Prus.

Wówczas to, za inicjatywą bibljotekarzą von Aretina, który Senefelderowi urządził w Monachium zakład litograficzny, wygotował Senefelder w ciągu paru dni pierwsze barwne mapy litograficzne, na których uwidocznione zostały granice Bawarji za panowania Karolingów, Welfów i Wittelsbachów. Mapy te, rozpowszechniane w wielkich ilościach, wywołały swem ukazaniem się prawdziwą sensację, zarówno swą treścią, jak i techniką wykonania.

Sztuka litograficzna rozpowszechniła się szybko po całej Europie. W pierwszej linji zainteresowali się nią Francuzi, gdzie po upadku Napoleona stała się niesłychanie popularną, służąc w dużej mierze propagandzie politycznej.

(kr.)

Echa wypadków paryskich

Podczas znanych rozruchów paryskich, które doprowadziły do obalenia gabinetu pana Daladier, zaszczytną rolę odegrała stara kawiarnia Weber'a na Rue Royale. Ma ona starą literacko-artystyczną tradycję, lecz jest dziś ogromnym lokalem, mieszczącym, jak zwykle bywa w Paryżu, także restaurację. Bliskość placu Zgody sprawiła, że tam właśnie przyprowadzono pierwszych rannych. Zaopatrzyła ich garderobjana. Gospodarz zorjentował się, się, że sprawa jest poważna, i natychmiast zakupił w pobliskiej aptece wszelkie bandaże i środki aseptyczne, jakie można było dostać, kazał opróżnić wielką salę jadalną i zaprosił do pomocy na ochotnika gości między którymi znaleźli się lekarze i studenci medycyny. Przez całą noc trwała samarytańska praca, a rannych po udzieleniu pierwszej pomocy odwożono do prawdziwych szpitalów, jeszcze na drugi dzień rano. W innych częściach lokalu podawano równocześnie potrawy i napoje, jak zwykle.

* * *

Ponieważ gospodynie paryskie obawiały się, że w poniedziałek 12 lutego nie będzie elektryczności ani gazu zaopatrzyły się w duże zapasy świec i nafty. Ruch handlowy był pod tym względem ogromny. Z gazet skorzystała znów na strajku **Action Française**, jedynie obszerniejsze pismo, które można było kupić w tym dniu — komunistyczna **Humanite**, rozdawano za darmo, ale nie wszyscy ją brali. **Action Française** roznosili „kameloci królewscy" elegacko ubrani i nie zapominający o formach towarzyskich, to też gazeta miała bardzo znaczny dochód. Prócz tego go ukazały się dwa zbiorowe pisma, prawicowe i lewicowe, lecz miały mniejsze powodzenie.

—o—

Brody i fryzury męskie w różnych epokach

O tem, jak wyglądały fryzury i twarze męskie w epokach najdawniejszych, dokładnie opowiadają nam posągi, biusty, płaskorzeźby, malowidła na grobowcach, na murach świątyń, na wazach, wreszcie monety, a także szczegółowe opisy w kronikach i życiorysach wielkich mężów... W Egipcie starożytnym arystokracja nosiła długie, mniej więcej do końca uszu sięgające włosy, do golonej zaś, bezwąsej twarzy przyklejała sztuczne, na różne kolory farbowane, — klinowate lub długie, wąskie prostokątne brody.

Kapłani golili głowę i twarz całą; — faraon, który był jednocześnie arcykapłanem i najznakomitszym arystokratą — golił głowę, nosił jednak przyklejoną bródkę...

U ludów semickich broda była zawsze jedną z najważniejszych ozdób mężczyzny, dodawała mu powagi i majestatu: długie ogromne brody mieli patrjarchowie żydowscy i władcy babilońscy czy feniccy, — królowie zaś assyryjscy jak najstaranniej pielęgnowali brody, fryzując je i barwiąc przeważnie na czerwono.

Ludy aryjskie, aczkolwiek mają dużą skłonność do obfitego zarostu, raczej golą brody: tak np. u Medów i Persów brodę spotykamy znacznie rzadziej, niż w Babilonji i Assyrji, — podobizny Cyrusa i jego pierwszych następców przedstawiają nam tych znakomitych Persów, jako mężczyzn o dosyć długich, ciemnych włosach, ogolonej brodzie i dużych ciemnych wąsach.

U starożytnych Greków daje się dostrzec mieszanina obu powyżej wymienionych typów: obok dostojnej brody, oznaki męskości, dojrzałości i powagi... brody, o której od najwcześniejszych lat marzą młodzieńcy — znajdujemy i ogolone twarze, różniące się od perskich tem, że nietylko brody, ale nawet wąsów nie posiadają. Tak np. na rzeźbach i płaskorzeźbach, wyobrażających bohaterów z wojny trojańskiej, Agamemnon, Hektor i Ajas, mają wielkie brody, Menelaos i Odysseusz zarost niezbyt obfity, ale widoczny, — Diomedes natomiast, Achilles i młodzieńczy Parys mają twarze zupełnie ogolone czy niezarośnięte.

Odnośnie Achillesa warto zaznaczyć, że w stosunku do tego największego bohatera pośród mężów achajskich sztuka grecka, — tak samo, jak nieraz i sztuka czasów późniejszych — stosuje bardzo ciekawy i charakterystyczny chwyt artystyczny: nadawania postaciom jak najbardziej męskim, silnym bohaterskim — twarzy subtelnej, kobiecej niemal — kobiecej, a nie zniewieściałej — a przecież z twarzy tej przebija nadludzka moc i heroizm, stokrotnie spotęgowane przez delikatność rysów i brak cechującego mężów zarostu. Tak np. obok Apollina Belwederskiego — w przeciwieństwie do Zeusa — bóg wojny, niepohamowany, groźny i potężny Ares ma na rzeźbach twarz zawsze pozbawiona zarostu.

W epoce Aleksandra Wielkiego i jego diadochów i epigonów brody i wąsy znikają zupełnie, — pozostają ogolone, kobiecy nieraz wyraz mające twarze, obramowane długiemi włosami (por. rzeźby Aleksandra Wielkiego, monety z podobiznami Seleuka, Ptolomeusza i innych. Zarazem w państwach hellenistycznych, sąsiadujących z semickim wschodem (Egipt, Syrja, Pergam, Pont) przychodzi nawrót do włosów bujnych, ale raczej krótkich, ozdobionych obręczami, — i do bród — tę samą modę widzimy w Kartaginie.

W Rzymie za czasów królów panuje broda, — nie wyrugowały jej jeszcze nawet pierwsze lata rzeczypospolitej, jak to widać z podobizny wielkiego patrjoty i republikanina Juniusa Brutusa z początku V. w. przed Chr. Późniejsze jednak czasy przynoszą zupełne zniknięcie brody i wogóle zarostu na twarzy Rzymianina: do historji i do sztuki typ rzymski przechodzi z ostremi rysami gładko wygolonej twarzy i z krótkiemi włosami na głowie, nieraz także golonej (por. biust Scypiona Afrykańskiego). Za imperatorów wraz z innemi wpływami wschodniemi wraca do Rzymu broda, którą widzimy i u Hadryana i u Marka Antonjusza i wielu następnych cezarów.

Ludy germańskie odznaczają się obfitym zarostem: mają przeważnie długie, bujne, często kędzierzawe włosy, zawsze duże, nieraz ku dołowi zwisające wąsy: — niektóre szczepy noszą duże brody, inne nie — np. Wizygoci i Frankowie. U Franków królowie z dynastji Merowingów, — w odróżnieniu od szlachty, noszącej włosy spadające na ramiona, zbierali włos w długi, kształt grubego warkocza mający, przewiązany wstążką — czub.

W Cesarstwie Bizantyńskiem pod wpływem starogreckim, a potem i cerkiewnym — ustala się nie moda już, ale nakaz noszenia długich, majestatycznych bród; — zwyczaj ten przenosi się i do Rosji, gdzie panuje aż do reformy Piotra Wielkiego na początku w. XVIII.

Na zachodzie Europy w średniowieczu widzimy włosy długie, nie takie jednak jak u Franków za Merowingów, — starannie frysowane, zazwyczaj zupełnie takie same, jak modne przed paru laty fryzury kobiece (styl Grety Garbo); brody albo zapuszczano, albo nie, — wąsy jednak noszono zawsze aż do w. XV, kiedy to ustala się typ zachodniego Europejczyka z ufryzowanemi włosami i zupełnie ogoloną, a więc i bezwąsą twarzą (podobizny Wawrzyńca Wspaniałego, cesarza Maksymiljana),

Wraz z renesansem sztuki antycznej przychodzi ponowna fala mody na brody, albo nieduża, ledwie obramującą twarz (król francuski, Franciszek I), albo wielką, patryarszą niemal (papież Juljusz II, Leonardo da Vinci, Karol V.) W ostatnich latach panowania Franciszka I. (połowa XVI. w.) ustala się moda strzyżenia włosów: rzekoma geneza tej mody ma charakter zupełnie przypadkowy — król, ranny w głowę, w celach higjenicznych ostrzygł włosy, — a wślad za nim strzyc ją poczęli wszyscy.

W połowie wieku XVI. ustala się typ mężczyzny, krótko strzyżonego, brodatego — przyczem broda ta jest albo duża, długa i wachlarzowata (Henryk VIII na portrecie Holbeina, u nas Zygmunt August, Samuel Zborowski, — czy Mikołaj Radziwił w „Kazaniu Skargi“ Matejki), — albo też malańka, wąska, krótka, ostra bródka typu hiszpańskiego, pozostawiająca policzki ogolone i wąsy średniej długości, zakręcone na końcach i często uniesione nieco ku górze (Filip II, don Juan d'Austria, cesarz Ferdynand II, u nas król Zygmunt III.) Moda ta przenosi się i na XVII. w., gdzie bródka rozszerza się wydłuża, nabiera regularnego charakteru klinowatego i otrzymuje nazwę szwedzkiej (Wallenstein i Gustaw Adolf na portretach Van Dycka), — jednocześnie powraca, już w początkach w. XVII moda na długie fryzowane włosy, spadające na ramiona (król. ang. Karol I. według Van Dycke'a, typ muszkietera francuskiego, u nas król Władysław IV. i Krzysztof Arciszewski). Im dalej w wiek XVII, tem bródka maleje, a włosy rosną, zachodzą już poza ramiona prawie, by przy samym końcu stulecia zamienić się w olbrzymią grzywę, często malowaną na najróżniejsze kolory, najchętniej na płowy., na barwę lwiej grzywy.

Częstokroć osoby, nie mogące zapuścić naturalnej grzywy, — golą głowę, a wkładają perukę, która coraz to modniejszą staje się u progu XVIII w. Około r. 1700 grzywa zwykle nie jest farbowana, ale pudrowana — z twarzy znikają nietylko resztki bródki, ale i wąsy, — od roku zaś 1720 datuje się powszechne przejście z pudrowanej, olbrzymiej grzywy do pudrowanej również peruki z warkoczem. Warkocz i goła, starająca się jak najbardziej przypomnąć kobiecą twarz królują niepodzielnie — we Francji do rewolucji francuskiej; kiedy to wraca moda na długie, naturalne włosy, spadające na ramiona, — w innych zaś państwach do końca wieku, w którym to czasie perukę wypiera krótka, a bujna często rozwichrzona, t. zw. romantyczna czupryna, której towarzyszą zwykle krótkie, a potem coraz to dłuższe, faworyty. Początek tej nowej modzie miał dać Jerzy Brian Brummel, wybitny prawodawca mody, za rządów Jerzego III. i IV.

W ciągu pierwszej i początku drugiej połowy XIX stulecia utrzymuje się moda faworytów — bokobrodów, które im dalej, tem bardziej przybierają na rozmiarach, aż wreszcie stwarzają popularną modę a la Franz - Joseph, polegającą na zlaniu się olbrzymich faworytów z zawiesistemi wąsami, przy gładko golonym podbródku. W drugiej połowie ubiegłego stulecia wraca — lansowana przez Paryż Napoleona III — moda odrodzonej hiszpańskiej, ostrej bródki i długich ostro zakończonych wąsów. Wogóle koniec w XIX — to powrotna fala bród, które z ostrych ala Napoleon III zamieniają się w szereg typów najrozmaitszych i najswobodniej indywidualizowanych.

W pierwszym lat dziesiątku XX. w wychodzi z krajów anglosaskich i rozpowszechnia się po całym świecie moda twarzy wygolonej, albo ozdobionej wielkim, ku górze zakręconym wąsem (cesarz Wilhelm II.), albo małym, angielskim wąsikiem; — po wojnie zaś światowej wraz z innemi akcesorjami kultury amerykańskiej — wtargnęła do Europy po dziś dzień trwająca moda gładko ogolonej, bezwąsej twarzy męskiej. Również i fryzura męska — zawsze krótka od początków XIX wieku — ulega w naszych czasach największemu uproszczeniu.

(p. t.)

O reakcji w odbiornikach radjowych

1) Sposób działania.

Zadaniem reakcji inaczej sprzężenia zwrotnego w odbiornikach radjowych jest zwiększenie ich czułości oraz selektywności, a pozatem wykorzystnie do pewnych granic zdolności amplifikacyjnych lampy detekcyjnej. Praktycznie biorąc, daleki odbiór zapomocą małych odbiorników jest możliwy tylko dzięki zaletom mukładu reakcyjnego. Z drugiej znów strony zbyt silna reakcja uniemożliwia i zniekształca odbiór radjofoniczny, a to w ten sposób, że wywołuje drgania własne, które przedostają się do anteny, następstwem czego jest promieniowanie i zakłócanie odbioru w mniejszym lub większym promieniu, sąsiadującym radjosłuchaczom. Reakcję urządza się przy lampie, spełniającej w odbiorniku funkcję detektora przez dodanie jej t. zw. obwodu reakcyjnego, którego zadaniem jest oddziaływanie na dostrajany obwód siatki tej samej lampy. Oddziaływanie to polega na przenoszeniu większej lub mniejszej ilości energji elektrycznej o charakterze wielkiej częstotliwości z obwodu anodowego lampy do obwodu jej siatki, skutkiem czego tłumienie tego ostatniego obwodu — w zależności od przekazywanej mu energji — podlega w znaczniejszym, lub mniejszym stopniu obniżeniu. Tłumienie więc obwodu siatki jest tym czynnikiem, który decyduje o jego ostrości dostrojenia i to jest istotą reakcji.

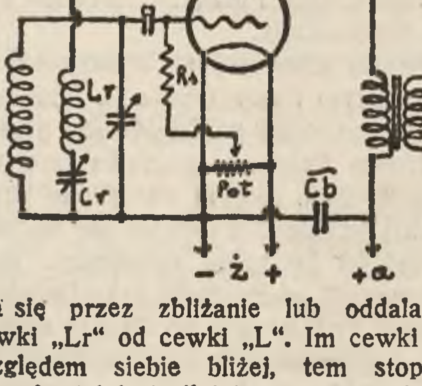
2) Rodzaje reakcyj.

W układach odbiorczych istnieją dwa zasadnicze rodzaje reakcji 1) sprzężenie zwrotne indukcyjne, 2) sprzężenie zwrotne indukcyjno-pojemnościowe.

Pierwszy rodzaj jest najprostszym w konstrukcji, za to w pracy charakteryzuje go pewna niestałość. Drugi sposób jest bardziej doskonały i dlatego jest najwięcej stosowany.

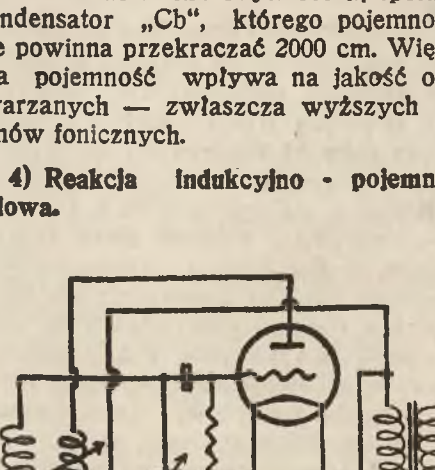
3) Reakcja indukcyjna

Rysunek 1-szy przedstawia detektor lampowy z reakcją indukcyjną. Energja elektryczna, o charakterze wielkiej częstotliwości, przenosi się drogą indukcyjną z obwodu anodowego do obwodu siatki za pośrednictwem cewki reakcyjnej „Lr“, sprzężonej z cewką obwodu siatki „L“. Ilość przekazywanej energji zależy od stopnia sprzężenia wspomnianych cewek, którego regulację uskutecz-



nia się przez zbliżanie lub oddalanie cewki „Lr“ od cewki „L“. Im cewki są względem siebie bliżej, tem stopień sprzężności jest silniejszy, tem więcej energji przedostaje się z obwodu anodowego do obwodu siatki lampy i odwrotnie. Ponieważ przy reakcji wykorzystuje się tylko część energji wielkiej częstotliwości, przeto resztę jej należy odprowadzić do ziemi. Czynność tą spełnia kondensator „Cb“, którego pojemność nie powinna przekraczać 2000 cm. Większa pojemność wpływa na jakość odtwarzanych — zwłaszcza wyższych — tonów fonicznych.

4) Reakcja indukcyjno - pojemnościowa.



Schemat detektora z reakcją indukcyjno-pojemnościową przedstawia nam rys. 2. W tym układzie cewka reakcyjna „Lr“ jest umieszczona na stałe obok cewki „L“, zaś regulację sprzężenia zwrotnego spełnia kondensator zmienny „Cr“ o maksymalnej pojemności około 300 cm. Kondensator ten stanowi w obwodzie prądów wielkiej częstotliwości zmienny opór pojemnościowy, który jest tem mniejszy, im większa jest pojemność kondensatora i odwrotnie. Zmieniając więc pojemność kondensatora umożliwiamy przedostawanie się z cewki „Lr“ do cewki „L“ większej lub mniejszej części energji. Aby prądy wielkiej częstotliwości zmusić do przechodzenia przez kondensator „Cr“ do cewki „Lr“ a nie do źródła prądu anodowego, wstawiamy w obwód anodowy dławik „dł“, który powinien mieć stosunkowo duży opór indukcyjny i możliwie małą pojemność własną.

Ważną rzeczą dla dobrego działania detektora lampowego z reakcją jest również trafne dobranie napięcia siatki lampy. detektorowej. Jeśli bowiem to napięcie jest za bardzo dodatnie, reakcja jest „za twardą“, w przeciwnym razie — „za miękką“. W związku z tem nie jest rzeczą obojętną, czy opór siatki „Rs“ łączy się z plusem czy też z minusem żarzenia. Również i wielkość oporu „Rs“ wiąże się w pewnej mierze z tą sprawą i należy ją dobrać praktycznie w zakresie od 1 do 4 megomów. Dobrze jest też stosować w takich wypadkach potencjometr o oporze 500—1000 omów, — jak to wskazano na rys. 2.

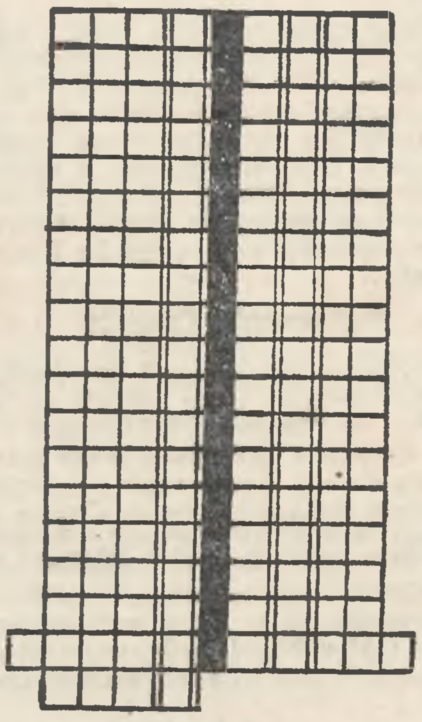
Piękny wiek

W lutym pochowano na cmentarzu Bally common w Noth Offally w Irlandji Mrs. Katarzynę Brickland, urodzoną w r. 1811. pamiętała ona — dziś, w wieku aut i aeroplanów — wprowadzenie na wyspie dyliżansów. „Zawsze lubiłam pracę, temu zawdzięczam długie życie i dobre zdrowie“, zwykła była mawiać.

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Logogryf

(Ułożył Eug. Dworski, Lwów)



W rządki poziome wpisać kolejno po dwa wyrazy (w ostatnim rządku jeden) o niżej podanem znaczeniu.

Rządki pionowe, oznaczone grubszemi linjami, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: Czart — rzeka w Hiszpanji. Świętość nietykalna — część ciała. Sprzęt w mieszkaniu — choroba zakaźna. „Kochanek“ — stolica europejska. Widziadła — broń biała. Piorun — imię królów węgierskich. Ziemia uprawna — drobny koralik. Legendarny lotnik — naczynie krwionośne. Duży kamień — napad. „Pali się!“ — ochrona drzewa. Rodzaj tańca — rola nieuprawna. Sklepik — imię męskie. Część głowy — miara papieru. Zwierz drapieżny — syn pierwszych rodziców. Porażenie — biały metal. Góry w Europie — kamień półszlachetny. Pierwiastek chem. — rzeka w Rosji. Instrument muzyczny — letnisko pod Krakowem. „Herbata“.

* * *

Z cyklu: Szarady w aforyzmach

(Ułożył „John Ly“).

Choćbyśmy zimni niczem **pierwsze** byli,
raz-cztery serca swe lodu pancerzem:
nie unikniemy takiej życia chwili,
Kiedy brak serca srogi odwet bierze...
Nieraz **dwa-trzecia** ludzi, drobny gieścik
już ci wskazuje, czego oni warci —
czy ich **czwór-piąta** twych przyjaciół
zmieści,
czy będą tobie — czy nie — **drudzy-czwarci?**
Luboście **piąci-czwarci** w przedsięwzięciu
choć w hart **pięć-czwartej** jaźń wasza
ujęta:
to nerwy wasze, gdy w ciągłem napięciu,
pękną, jak **czwarta-trzecia** przeciągnięta...
A **cały?** Właśnie to człowiek... niecały,
z braku moralnej więźby — w złem
skostniały.

* * *

Z cyklu szarad i konikówek

(Ułożyła Helena Mokrzycka, Drohobycz)
poświęcone p. „John Ly“.

III.

SZARADA

O **Całe!** szumiące złotemi kłosami,
płonące makami, bielące się gryką,
strojne koniczyną, chabrem i prosami,
usłane trawami, wijącą się wyką...
Trzecie-czwarte-piąte twoje szepty, szumy
słodkie aromaty, balsamiczne wonie...
przy tym cudzie piękna korzą się rozumy
w niemem uwielbieniu pochylamy
skronie.
Czy **pierwsza** i **trzecia** różowego ranka,
czy w porze, gdy słońce ognisty żar leje
czy wtedy, gdy nocy zapada firanka, —
Pierwsze-drugie zawsze nowy urok sieje.
Cztery Ciebie wznoszę spracowane
dłonie,
o korono piękna, przecudowne **Całe!**
prześliczny klejnocie w niebieskiej
koronie,
najpiękniejsze Boskich rąk dzieło
wspaniałe!

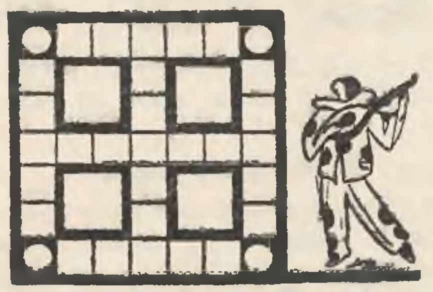
KONIKÓWKA

	PRA	JA	SKI	
NAS	KLĘ	NIE	CY	MI
SZEJ	CHRO	O	JĄ	I
	CHAJ	NIE	NI	
	NA	RA	PO	
	SNE	PŁO	DO	
DY	LE		DO	LE
ZBÓŻ	TO	LE	BROĆ	WA
PO	DO	ŚPIE	NI	RA
NEJ	NE	DO	JĄ	SKOŃ
TWA	CYCH	CZO	PEŁ	NIE
	SNE	CHAJ	NIE	

* * *

„Okienko“

(Ułożył „Stér“ Borysław)



Należy wpisać w „okienko“ sześć wyrazów o niżej podanem znaczeniu. Litery w kółkach, czytane w kierunku zegarowym, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: poziomo: 1) „lotnik“, 2) „linki“, 3) „jaźń“ (wspak).

Pionowo: 1) „rozbiór“, 2) „pajac“, 3) duża ryba kostnołuska (wspak).

* * *

Szarada

Ułożył Ka. De. Drohobycz)

Kurjér... rozrywki... **siedem-trzecie** czeka
Zadań, aby je rozwiązać dokładnie.
A tu dzień po dniu przemija, ucieka,
Pierwsze! Pierwsze dam rady, aby
składnie
Wszystko odgadnąć! Ot, **raz-drugie-trzecie**
Troski takie to **cztery-do-siódmego,**
Lecz choć tak **czwarta-piąta** dola gniecie,
Już wiem co zrobię, jakoś wybrnę z tego.
Telefon! Hallo!!! Czy łaskawa Pani
Zna przydymione co na stole leży?
Jak? Co? Piklingi? Hm ... tak, śledzik
tani,
Tamto? Car-ziele, na Litwy rubieży,
Wreszcie już komplet, bo mam i
Tantala!
(Zatem na **szóstą z kreską**, dosyć będzie)
Pięknie dziękuję! Słyszę: „...proszę“
z dala.
Komplet rozwiązań mam! Więc w
szybkim pędzie
Mknie list: express — Lwów,... jak
radjowa fala.

* * *

Szaradki teatralne

(Ułożyła „Arja“)

1.

Dla widowni humor, werwa,
rozkosz... Lecz gdy, przyjdzie przerwa,
to za **całe** nie idź za nim!...
Bo się z bólu gdzieś tam **raz-dwa**
ta świetlana sceny gwiazda —
los **raz-trzeci** klnie i gani,
co na głowę ciska jego
utrapień bez **dwa-pierwszego.**

2.

Objektywności chociaż togą
raz-dwa-pół trzeci jest **raz-wtóry,**
to jednak sądy jego mogą
być życzliwemi — niezbyt... „z góry“.
Boć **recenzenci** nie **trzy-drugie,**
ich osąd osób też nie **dwa-trzy,**
lecz na wysiłek i zasługę
artysty dobra **cała** patrzy...

* * *

Rozwiązania z dopiskiem „Dział rozrywkowy“ prosimy nadsyłać do Redakcji najdalej do **środy dnia 14 marca br.**

Za trafne rozwiązanie wszystkich zadań przeznaczamy w nagrodę drogą losowania interesującą powieść.

* * *

Rozwiązanie zadań z nr. 48.

Szarada: Zorzo poranna!

Konikówka:

Zorzo poranna!
która kwiaty radujesz, ludzi i zwierzęta,
spraw, aby dusza nasza była
uśmiechnięta,
jako ranek, światłością jaśniejący Bożą.
Poranna zorzo! (Eysmond)

Szaradki wielkopostne: 1) Śledziki, 2) Piklingi.

Metagram: 1) koc, koń, kót, kos, kog, kok. 2) noc, toń, lot, nos, dóg, tok. 3) Noe tor, los, nor, dom, toń.

Homonimy: 1) Krzyżówka, 2) Car, 3) Kula.

Kwadrat magiczny: Kabaret, Baryton, Rotacja, Tantala, Kuracja, Tet-a-tet.

Szarada: Podziękowanie za nagrodę.

Rebus: Wesele Figara.

* * *

Rozwiązania nadesłali:

Ze Lwowa pp.: Eug. Dworski, Zofja Fr., „Arja“, Ant. Dworski, J. Kwiecoll Ir-ka, „Ceś“ „Halina“, Ir. Lewicka inż. J. W., H. Konstantynowicz, Hel. Kowalska, Ir-wu, M. Szydłowska, Br. Ostrowski, inż. J. W., J. Tomaszewska, M. Angielczykowa, M. Ruxerówna, Eug. Boczarska, M. Zygmuntowicz, „Jota“ Wład. G.

Z poza Lwowa pp.: Kaz. Jurkiewicz (Śniatyn), Mich. Różycka (Orzesze), „Ludwik“ (Tyśmienica), M. Lityńska (Przemyśl), Cz. Murczyński (Kraków), J. Witkiewiczówna (Drohobycz), M. Potocka (Sanok), M. Kański (Kraków), Olga (Jarosław), Tad. Dworski (Sanok), Franc. Szczepan (Wola łużańska), ks. Wł. Zubek (Wielowieś), Franc. Jenner (Brzeżany), Hel. Mokrzycka (Drohobycz), Franc. Krawczyk (Jarosław), ks. J. Domański (Drohowyże).

Nagrodę uzyskała p. **Helena Kowalska we Lwowie.** Prosimy uprzejmie o zgłoszenie się w naszym Kantorze (Zimorowicza 10).

Józefina Baker w kinie

Turcja. Jeden z kinoteatrów zaangażował na dłuższy czas Josefinę Baker, której występy cieszą się ogromnem powodzeniem.

Przygoda na ulicy

(Humoreska z rosyjskiego)

Szliśmy we dwóch, Iwan Piotrowicz i ja, wąską, odludną uliczką, tonącą w zmroku wieczornym.

Nagle spotrzegamy idące ku nam jakieś monstrum. Przyglądamy się... co to może być? Jakiś strach na wróble, czy co? Podchodzi bliżej... Iwan Piotrowicz nasadza gorączkowo okulary — i po chwilce wybucha śmiechem. Teraz i ja już rozróżniam wyraźnie kształty — i obaj poprostu pokładamy się ze śmiechu. Co to jest właściwie: kobieta, czy mężczyzna?

Karakułowy żakiet, boa, zarękawek... więc chyba kobieta? Ale nie! To przecież mężczyzna, wystrojony w damski płaszczyk, wcięty w pasie; jedną rękę chowa w zarękawku, z którego wyziera kawałek kombinacji z crepe do Chine, — w drugiej dźwiga jakąś napchaną walizkę.

Iwan Piotrowicz przestaje się nagle śmiać:

— To napewno złodziej! — mówi do mnie, — trzeba go złapać!

— E, lepiej ustąpić mu z drogi, — proponuję, — jeszcze i nam może się coś oberwać!

Ale gadaj tu z Iwanem! Jak wściekły rzuca się bez namysłu na mijającego nas właśnie złodzieja, rycząc:

— Ręce do góry!

Przeszedłem szybko na środek ulicy, pątrząc co dalej będzie, gotów w danym razie każdej chwili do ucieczki.

Po zaciętej walce Iwan Piotrowicz zdołał obalić tamtego na ziemię. Widzę, jak okłada go kułakami, wołając:

— Ściągaj mi zaraz ten płaszcz, ty złodzieju, jeśli nie chcesz więcej dostać!

Podchodzę bliżej i perswaduję łagodnie leżącemu:

— Słuchaj, obywatelu, oddaj dobrowolnie, radzę ci!...

...Cooo? nie oddasz? A ty łotrze! mało ci jeszcze? Iwanie Piotrowiczu, dajże mu tam porządną nauczkę!

Iwan, który klęcząc na pokonanym, odpoczywał, obcierając sobie pot z czoła, zabrał się znów do roboty. Ale tamten, choć jęczał i stękał, jakoś nie miał ochoty oddać nam swojej zdobyczy. Za długo mi to trwa — myślę sobie, możemy tak sterczeć nad nim do rana.

— Towarzyszu, — mówię, — a możeby sprowadzić milijanta?

Słowo „milicjant“ zelektryzowało leżącego:

— Dajcie spokój, obywatelu, — odezwał się natyhmiast — już ja zdejmę sam, bez niczyjej pomocy. Tylko pozwólcie mi wstać, bo tak leżąco strasznie niewygodnie.

Porozumieliśmy się szybko wzrokiem.

— Nie, — odpowiadam stanowczo, — leż spokojnie, ty łajdaku. Już my cię sami rozbierzemy. No dalej, rozłóż ręce... tak... a teraz ściągaj... jazda!...

Wreszcie udało się. I zrozumieliśmy dopiero teraz, czemu z tem rozbieraniem było tyle kłopotu; ów amator garderoby damskiej miał pod płaszczem jeszcze czarną jedwabną bluzkę a pod nią crepe de chinową koszulkę.

Leżał teraz na ziemi, trzęsąc się z zimna.

— Nie ma nic więcej? — pytam dla wszelkiej pewności. — Obejrzyj go dobrze!

— Nie ma nic, towarzyszu, — odpowiada Iwan Piotrowicz, — prócz własnej rubaszki... No, a teraz zmykaj mi stąd czemprędzej, — dodał, zwracając się do leżącego.

Ten na to tylko czekał: zerwał się z ziemi i już po chwilce zniknął nam z oczu.

* * *

Zabraliśmy się obydwaj do składania odebranej złodziejowi garderoby. Nagle z za rogu ulicy wypada jakiś człowiek, zadyszany, spocony: Dobiega do nas... początkowo nie może ani słowa z gardła wydobyć... patrzy tylko na nas, na trzymana przez nas garderobę... twarz mu się rozjaśnia...

— Więc złapaliście go, towarzysze? — mówi, z trudem łapiąc oddech, — odebraliście temu łotrowi wszystko. Ach, towarzysze, do śmierci wam tego nie zapomnę!

— Tak, tak, towarzyszu, — odpowiadam — nam podziękujcie za to, żeście odzyskali swoje rzeczy.

I podaję mu kolejno, sztuka po sztuce: walizkę, zarękawek, boa, koszulkę, bluzkę, żakiet...

Bierze drżącemi rękami, rozpływając się w podziękowaniach.

— Dobrze już dobrze, — mówię zażenowany, gdy mnie ściska z uciechy za rękę. — Koszulka trochę się podarła w czasie bójki...

— To nic towarzyszu, — żona moja to naprawi. Grunt, że mamy wszystko z powrotem. No, ale lecę do mej żony, to się dopiero kobieta ucieszy!

* * *

I my poszliśmy spokojnie swoją drogą.

— No, spełniliśmy dziś swój obowiązek — mówię do Iwana Piotrowicza, który tymczasem zapalił swą fajeczkę.

Minęliśmy główną, ożywioną ulicę, kierując się w boczną, słabo oświetloną i prawie pustą.

Na kilka kroków przed nami spostrzegliśmy stojące w mroku dwie postacie. Wkrótce też dosłyszeliśmy ich rozmowę:

— Masz wszystko z powrotem? — pyta jeden. — Wspaniale ci się to udało! Ale jakeś to właściwie wykombinował, powiedz no mi? Już myślałem, że cała moja robota na nic!

— Otóż widzisz bracie, udawałem, że to ja jestem tym okradzionym... dziękowałem im, że złapali złodzieja i odebrali mu moje rzeczy... A przy tej okazji temu mniejszemu, chudszemu jeszcze buchnąłem pocichu zegarek.

Iwan Piotrowicz spogląda na mnie, zupełnie przybity. Przerażony sięgam ręką do kieszeni — niema zegarka!

— Iwanie Piotrowiczu, — krzyczę, — słyszałeś? Ukradł mi zegarek!

Iwan Piotrowicz nasunął tylko czapkę głębiej na czoło i puścił się w pogoń za nimi...

Ale po paru minutach wrócił.

— Zniknęli... jakby się w ziemię zapadli, — oświadza mi z tłumioną wściekłością.

Mimowoli macam ręką po kieszeni... ale zegarka niema!

— Ostatecznie nie idzie mi tak bardzo o tę garderobę damską... ale zegarek... kosztował dziesięć rubli...

De Besen

W godzinę potem, jak „Polonia" zawinęła do portu Amsterdamskiego, już zeszliśmy się (jak to było umówione) w wiadomej knajpie portowej, gdzie się zbierają stale junacy kapitana Roselvrade w ładnych koszulinach z hinduskim znaczkiem na ramieniu jak się patrzy. Schadzka się zrobiła międzynarodowa, ale przeważnie nadmorska, bo to jeden Norweg z oddziałów majora Quislinga, jeden Szwed z legjonu Furugaarda i Hammersteina, jeden Belgijczyk z grupy „Neptuna", a nawet z dalkiego Erynu. Eirysz oczywiście na niebiesko z emblematem koniczyny na „croix gammé".

Miotły

Likiery mocne w prawdziwych gliniankach czy fajansach postawiono na stół, więc wszystkim się rozwiązały języki i zaczęli rozpowiadać jeden po drugim, co i jak u których. Już są więc ci nadmorscy wszyscy ze sobą w kontakcie, ale nietylko ze sobą, ale i ze Srebrnymi z Ameryki, z Wiedeńczykami, z Węgrami, Grekami, z Rumunami, z Włochami, no i oczywiście z Centralą.

Powyciągali z kieszeni różne pisma, takie tygodniki we wszystkich językach świata, bo to i po grecku i po arabsku i brazylijskie „Avanti" i kanadyjskie „Le Droit" (Ottawa) i meksykańskie (redaktor dr. Lira) i „Journal d'Argentina" i norweskie i szwedzkie i „Neptuna" z Antwerpji. Znać zaraz, że to byli ludzie, co wiele podróżowali po świecie i nie z jednego pieca chleb jedli. Jeden wyciągnął „Le Pilori" (Pręgierz) genewski, a drugi „Pranger" duński. Jak w „Szwajcarji" wychodzi „Der Eiserne Besen", tak znowu w Amsterdamie samo „De Besen" (Miotła). I takie miotły są już na całej kuli ziemskiej, bo przecież i w Transvaalu — jest boerska „Miotła". Wszędzie! Widoczne tedy, że to już międzynarodówka, nowa międzynarodówka, obejmująca swoją siecią cały świat jako antyteza tamtych międzynarodówek, drugiej i trzeciej.

Tylko o Polakach nic w tem wszystkiem nie słychać. Nieobecni. I żadnej łączności, żadnego kontaktu z pokrewnemi duchami i drukami w Europie Zachodniej, Środkowej, Bałkańskiej i Bałtyckiej.

Więc przy likeransach Bolsowych dowiedział się człowiek to i owo, jak to sobie poczynają i jak się przygotowują narody cywilizacyjnie dość wysunięte naprzód, bo to niby i bez analfabetów, miasta czyste, szkół pełno, złodziei mało albo wcale, drogi i szosy jak po stole, mydła konsumcja spora, no i wogóle.

Wódz Furugaard

Najciekawsze co mówił ten Szwed psiajucha wcale zajadła i blonde Bestie o słomianych włosach, nordycka mordka wypisz, wymaluj. Całkiem zgadzało się z tem, co niedawno pisał nasz „Robotnik".

„Pięć pism wielkim głosem wrzeszczy o pochodzie faszyzmu, a na ulicach wyrostki wtykają przechodniom odezwy, nawołujące do bojkotu wielkich domów towarowych".

Przeciw domom towarowym! Zupełnie tak, jak w Szwajcarji, Zurychu i w Bernie. Tożby się cieszył w Londynie G. K. Chesterton, który niedawno wściekał się na te wielkie wszędzie izraelskie Warenhausy i radził je poprostu wysadzić w powietrze. To samo i ten szwedzki faszysta, zaprzysięgający, że te wszystkie domy towarowe i publiczne w rękach jednej rasy, która z Szwecją niema jako żywo nic wspólnego, której dawniej było jak na lekarstwo, a teraz w Szwecji już 6.000! I mówiąc o tych sześciu tysiącach pienił się Szwed, bił pięścią w stół, wymyślał, klął i popijał swój dżyn specjalny.

„Chcieli się do nas jeszcze większą gromadą zwalić, ale odrazu w „Riksdagu" awantura się zrobiła i premjer zapewniając, że jest demokratą i że okropnie współczuje uciskanej niewinności, ale do Szwecji nie zaprasza, bo w kraju ciężko"... Nam to nie wystarczyło. Nie zniesiemy „domów Towarowych" w ich rękach! Nadto już się i w prasie radykalnej rozwielmożnili, po szwedzku piszą doskonale i już judzą warstwę na warstwę, klasę na klasę, wieś na miasto, miasto na wieś, wegetarjanów przeciw filaltelistom, narciarzy na łyżwiarzy i tp. I już związkami zawodowymi rządzą. Sześć tysiecy ich jest, a już nam za skórę zaleźli jakby ich było 60.000. Ale my nie w ciemię bici. Nie damy sobie pluć w kasze krakowską, jak wasze Kapellnerowcy! W pół roku zorganizował nas nasz „Duce" Furugaard. Dowodzi nami porucznik Hammerstern. Maluśko, a przeidziemy do akcji czynnej i nasze „drożdże dekompozycji" wylejemy do zlewu Bałtyckiego. Niech wracają na Wschód, skąd przyszli. Prosit!

Major Quissling

— Heil Vidkin! Heil Quissling!

Ten, do którego było to pite, był Norweg. Ten złotowłosy i opalony i marynarz notoryczny choć nie w marynarce, lecz w koszuli oliwkowej, jak to we zwyczaju u Quisslingowców. Niebezpieczeństwa wschodniego tam u nich w Norwegji niby żadnego niema, bo „wmieszkanych" raptem na pełen naród (3 miljony 500 tysięcy) niecałe 2.391 (wliczając w to już posła polskiego). Ale partyjnictwo zato rozpanoszone do niebywałych granic, bo to w „Storthingu" liczy niby 18 (osiemnaście) frakcyj, no a z ostatnich wyborów grudniowych z powodu zastoju w handlu i rybołóstwie przeszli i weszli omal sami czerwoni. Tak radykalnego Storthingu jeszcze nigdy nie było, odkąd fjordy fjordami. A im partja czerwieńsza i bardziej Trocka, tem w niej więcej semickich migdałków i Rosenków i Rosenów i Rosenfeldów i Rozensternów.

To też w samą porę trafił sie major Vidkin Quissling i jego młodzieńcze kohorty, które nieco gaszą te zapały do utworzenia sowieckiego rządu z marynarzy, bezrolnych chłopów i cyganerji literackiej z Oslo. Heil Quissling! Heil Furugaard! Heil Roselvrede! Heil Muset!

Inżynier Muset

Wszyscy trącali się teraz owacyjnie z Holendrem, który tym razem też był „latającym Holendrem", gdyż należał do lotnych oddziałów kapitana Roselvrede, niedawno powstałych przy wielkiej organizacji faszystowskiej inżyniera Museta.

Tu już niebezpieczeństwo wschodnie przedstawia się poważniej. 120.000 „krajowych cudzoziemców"! Nie trzeba zatajać, że duży procent osiadłych od setek lat jeszcze marranów, spanjolów, arystokratycznych, patrycjuszowskich związanych z Holandją i jej wysoką kulturą tysiacznemi wezłami i fibrami. I wiele, wiele przyczynili się ci Sephardim do rozwoju i piekna, i bogactwa, i zamorskiej potencji swego kraju (modele Rembrandtta, dzieła Spinozy, patos architektoniczny Hagi). — Ale cóż! Wojna i po wojnie nawiało i tu moc luftmenszów i semikrobów z Eufrazji bliższej i dalszej. Obok handlu brylantami zakwitł handel „perłami z haremów" i zamtuzów, nadto lichwa, paserstwo, oszustwa, fałszerstwa, korupcja i równomiernie klasowe rewolucyjne drażnienie i judzenie na starych Pereców i młodych purvców.

Z tem najazdem i jego konsekwencjami moralnemi i socjalnemi oraz z nową falą emigranckich intelektualistów, skupionych koło wydawniczej firmy „Querido" rozpoczęły walkę organizacje inżyniera Museta z awangardą szturmową kapitana Roselvrede na czele.

Plany mają na wielką skalę. Jak kiedyś odwodniono bagniste i malaryczne Zuider - See, tak teraz mają zamiar oczyścić duszne powietrze i transplantować za peryferje pewną część obywateli, która spokojnym, a nawet flegmatycznym Holendrom działa na nerwy i na powonienie. Organ bojowy Roselvredowców nosi tytuł De Besen (Miotła).

Pułkownik Cromin

Poczem o głos poprosił Irlandczyk. I wtedy wszyscy nagle zerwali się z miejsc i ręce do góry. Heil Cromin! — Heil Cromin! Okazało się, że tak nazywa się świeżo aresztowany i na trzy tygodnie skazany pułkownik Cromin z gwardji narodowej niebieskich koszul gen. O. Duffy. Siedzi w więzieniu, jak siedzieli do niedawna bracia Frauenfeld w Wiedniu, jak w Bukareszcie ojciec i syn Codreanu, jak siedzi w Palestynie moc Fellachów, a gdzieindziej Lachów...

Irlandczyk opowiadał długo i szeroko. A po nim Belg, Wallończyk, jeszcze nie zorganizowany w patrjotyczne bojowe formacje, więc jakiś dziwnie zatroskany, smętny, defetestyczny, przygnębiony, jakby przygnieciony tem, że jego Flamandzi tak sie nieprzyjemnie zmienili w ostatnich miesiącach, tyle mówią ciągle o... rasie, a tak okropnie o tym Paryżu!...

Że sie jednak przy tem wszystkiem dużo piło likeransów (w tej holenderskiej portowej knajpie), więc to i owo z głowy wyleciało. Trzeba się więc o Irlandii i Belgii wywiedzieć więcej i szczegółowiej, kiedyindziej zdać z tego relację...

ADOLF NOWACZYŃSKI

JEFFERY FARNOL 69

SYGNET SIR RYSZARDA

Tłumaczyła z angielskiego Felicja Zielińska

— Nie możesz jej odrzucić — odpowiedział łagodnie — bo zrobiłem dla ciebie zbroję ze swej miłości. Tarczą osłaniać cię będę dzień i noc tak długo, jak żyć będę... Nie, słuchaj, Heleno, wiesz dobrze, że cię kocham, oczy moie powiedziały ci to, gdy pierwszy raz na ciebie spojrzały. Ale ty jesteś bogata! Cóż z tego, gdybyś była żebrazką uwielbiałbym cię tak samo pomimo łachmanów. Stałaś się mojem natchnieniem, podnietą do życia, do śmierci. Zaprzedałbym swoją duszę z miłości do ciebie! Heleno, cokolwiek we mnie jest dobrego będe to pielęgnował dla ciebie, ach będę się starał stać godnym twej miłości... Gdybyś tylko mogła i pokochała mnie, życie byłoby radością samą, a ja bogiem... Heleno? — Głos jego załamał się, policzki pałały, oczy błyszczały i ona widząc, jak bardzo jest wzruszony stała chwilę milcząca... A wtedy rozległ się w pobliżu cichy, bolesny gwizd.

— Kapitanie Despard — rzekła uprzejmie — zdaję sobie sprawę z zaszczytu, jaki mnie spotkał ponieważ wierzę, że jest pan szczery, ale —

— Nie, Heleno — zaczekaj! — Błagał. — Nie odbieraj mi odrazu nadzieji. Zaczekaj... poznaj mnie lepiej daj mi czas, a chociaż nie jestem bardzo cierpliwy dla twej miłości... — Gwizd był coraz silniejszy; kapitan Despard zmarszczył czoło, umilkł i rozglądnął się wokoło gniewnie; a Helena westchnęła, odwróciła się i szybko pobiegła.

Ledwie znikła, gdy mściwa ręka chwyciła ramię kapitana, który zobaczył przed sobą wicehrabiego Brocklehursta.

— Przeklęty — przeklęty zdrajco! — Syknął. — Słyszałem —

— Tak? — Rzekł kapitan. — Spiegowałeś?

— Przeklęta twoja podwójna gra! — Zawołał wicehrabia dziko. — Teraz więc — teraz — będziesz ją bronił — i przeciwko mnie?

— Nie wątp o tem, wicehrabio.

— Zaiste, Despardzie — w takim razie włożę ci kajdany, zginiesz, ale ja —

— Milcz, nie unoś się! I pamiętaj, knujesz swój spisek na własną zgubę.

— Mój spisek — mój? — Krzyczał wicehrabia, targając w napadzie furji ramieniem kapitana. — Mój powiadasz — ty przecież namawiałeś do tego!

— Tak — a teraz zabraniam!

— Co, ty zabraniasz — ty?

— Ja — w swojej osobie! — Odpowiedział kapitan łagodnym głosem, ale odepchnął z taką złością rękę, że wicehrabia zachwiał się poczem przyglądając się lepiej kapitanowi dziwnym szeptem przemówił:

— Ach... rozumiem teraz! Ty... ty pragniesz jej dla siebie... czy tak?

— Tak — rzekł kapitan — właśnie.

— Ale... stałeś się rozpaczliwie niebaczny, Despardzie!

— Jakim sposobem?

— Rozumiesz mnie, z pewnością, Despardzie?

— Nie.

— A więc... mam na myśli... to, co Juljan wiedział

— Ach! — Szepnął kapitan. — Ale Juljan umarł! — Dłuższą chwilę stali wpatrzeni w siebie i zupełnie, jakgdyby bez ruchu potem powoli wicehrabia cofnął się aż stanął obok altany... Niespodzianie w pobliżu rozległy się żałosne tony skrzypiec i srebrne dźwięki fletu.

— Ach muzyka już — uśmiechnął się kapitan. — Chodźmy, mój panie, zobaczysz, jak Helena ofiaruje mi pierwszy taniec.

Kapitan oddalił się, a wicehrabia oparty o altanę przymknął oczy niby w omdleniu... Tej ciepłej, cichej nocy dochodziły go szepty i szmery, hałas rozbawionych gości, głośne i ciche śmiechy, urywki rozmowy. Wtem znowu ktoś w pobliżu zaczął boleśnie gwizdać i otwierając oczy wicehrabia zobaczył szerokie plecy ogrodnika, pochylonego nad robotą. Wpatrzony w jego bary zdał sobie sprawę, że goście nagle dziwnie się uciszyli; paplanina i śmiechy zdawały się słabnąć i oddalać. Wobec tego wicehrabia spojrzał w stronę rozległych trawników i aleji i dostrzegł wtedy ponurą postać Tytusa Oldcrafta czarnego kruka wśród barwnych pawji.

Na widok tej ponurej postaci blade policzki zapałały, oczy zabłyszczały i tak szybkim krokiem pośpieszył, że potknął się o ogrodnika. Zaklął i odtrącając go na bok przyłączył się do uciszonego i zaciekawionego towarzystwa, które otaczało Oldcrafta. Pan Tytus, zdejmując kapelusz kłaniał się na prawo i na lewo wreszcie przemówił stanowczym, ale pełnym godności głosem:

— Sir Johnie Parret, panie i panowie, jako urzędnik bardzo gorliwy w spełnianiu swego obowiązku pokornie proszę o przebaczenie za moje niespodziane wtargnięcie. Pozwolą mi państwo jednak postawić pewne pytanie szanownym, zebranym tu gościom?

— Pozwalamy — pozwalamy — zawołano jednogłośnie.

— Panie Oldcrafcie — rzekł Sir John Parret z odpowiednim gestem — w towarzystwie tego rodzaju, co tu może być pan przekonany, że Prawo jest święte. Proszę mówić!

— Więc — pan Tytus rozglądnął się wokoło, a twarze wszystkich wyrażały oczekiwanie i zniecierpliwienie — Sir Johnie, panie i panowie, pełni gorliwości i obowiązku przekonaliśmy się ostatnimi czasy, że złoczyńca przez nas poszukiwany miał na palcu pierścionek z kociem okiem. Wobec tego ja, jako najwyższy urzędnik policyjny, przedstawiciel sprawiedliwości postanowiłem znaleźć ten pierścionek i — tu pan Oldcraft zatrzymał się, spojrzał złowieszczo na zasłuchane audytorjum, pokiwał głową, podniósł zaciśniętą prawą dłoń i rzekł:

(C. d. n.)

Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce

Pod powyższym tytułem ukazało się na półkach księgarskich dzieło pośmiertne ś. p. Prof. dr. Jana Ptaśnika, wydane przez Polską Akademję Umiejętności.

Zmarły prze laty czteru Prof. Ptaśnik dał nauce polskiej i społeczeństwu owoc swych wieloletnich studjów nad dziejami miast w Polsce. dał syntezę tego odcinka dziejów kulturalnych, gospodarczych i politycznych Polski, na który oddawna czekała daremnie polska nauka historyczna. Wartość tej syntezy, opartej na szeregu gruntownych studjów autora i innych badaczy tej dziedziny, oceni niewątpliwie w najkrótszym czasie fachowa krytyka; na tem miejscu trzeba jednak już zgóry bardzo silnie podkreślić, że dzieje miast i mieszczaństwa w Polsce prof. Ptaśnika, to książka, która staje odrazu w szeregu najcelniejszych publikacyj w dorobku polskiej nauki historycznej, to książka, która będzie jedną z fundamentalnych podstaw do poznania naszej przeszłości dziejowej.

Jest ona publikacją w najściślejszem tego słowa znaczeniu naukową, służy jednak równocześnie, dzięki własnościom umysłu i stylu pisarskiego ś. p. Autora, każdemu wykształconemu człowiekowi, który zechce czerpać stamtąd potrzebną mu wiedzę i materjał. Staje ta książka w jednym szeregu z wielkiemi syntezami Balzera i Kutrzeby (ustrój Polski), Brücknera (dzieje kultury), Abrahama i Wotschkego (dzieje kościelne), Korzona i Kukiela (dzieje wojskowości), Grabskiego Wł., Bujaka i Rutkowskiego (dzieje gospodarcze i wsi polskiej), Kota (dzieje wychowania), nie mówiąc już o szeregu dzieł z historji politycznej Polski (Encyklopedja A. U., i t. p.).

W tym korowodzie znamienitych nazwisk badaczy naszej przeszłości i ich dzieł staje nazwisko ś. p. Prof. Ptaśnika, który przed wszystkimi innymi był powołany do tego, aby tę lukę w naszej historjografji wypełnić, i wywiązał się z tego zadania w sposób, który tylko chlubę przynieść może polskiej nauce historycznej. Wielka i gruntowna wiedza, metoda badawcza, stojąca na poziomie najwyższym, a równocześnie ujmująca swoją jasnością, zwartością i polotem cechy kunsztu pisarskiego ś. p. prof. Ptaśnika dały do rąk naukowców, młodzieży uniwersyteckiej a także szerszej czytającej publiczności interesującej się temi zagadnieniami, dzieło, które na długie, długie lata pozostanie jedynem, zaufania godnem źródłem wiadomości o przeszłości dziejowej miast i mieszczaństwa polskiego.

Książka ta porusza kapitalne i najbardziej podstawowe zagadnienia z dziejów miast w Polsce; poczynając od genezy miast średniowiecznych, którą autor znajduje w pierwszym rzędzie we Włoszech, przechodzimy zkolei do ustępów traktujących o władzach miejskich, ustroju społecznym (patrycjat i pospólstwo), administracji miejskiej, stosunku miast do państwa, roli szlachty w życiu dawnych miast, o tak ważnem zagadnieniu jak problem narodowościowy (Niemcy i rola żydów w miastach), i kończy wymownym a równocześnie smutnym opisem upadku miast w w. XVII i XVIII, oraz ich chwilowego dźwignięcia się w drugiej połowie XVIII-go w. Książkę zamyka nader barwny i interesujący ustęp o życiu i wyglądzie wewnętrznym miasta dawnej Polski.

Dzieło to przygotowała z rękopisu do druku uczenica ś. p. Zmarłego Profesora dr. Łucja Charewiczowa, od której też pochodzi indeks osobowy i rzeczowy. Przedmowę napisał prof. Bujak, kolega i przyjaciel Zmarłego Profesora.

J. L.

Radjo i gazeta

Radjofonja winna służyć kulturze.

Ludzkość cierpi przez pogoń za pieniądzem. Pragnie go tyle a tyle, pragnie i więcej. Jedni gonią za pieniądzem koniecznym, i trudno by było inaczej: inni pragną czegoś więcej, bodaj zapewnienia sobie pewnego jutra. I to jest również zrozumiałe. Ależ iluż tak jest tą pogonią pochłoniętych, że zdobywszy już nawet upragnione złoto, zapominają o życiu!

Radjofonja przynosi ludziom elementy twórczości bezinteresownej. Pozwala na bezpośrednie zapoznanie się z nowemi dziedzinami, dostęp do których utrudniała nam potrzeba zaopatrywania się w specjalne podręczniki, utrudniały duże, z tem związane nieraz koszty i poważna zwykle strata czasu.

Dzięki radjofonji człowiek XX-go wieku może umysł swój bogacić tysiącem nowych wiadomości.

Wskazanem jednak będzie, by użytkowiec radjofonji nie rozpraszał się zbytnio w masie programów, jakie są mu dostępne.

Wolno mu naturalnie, według gustu i kaprysu chwytać to, co mu w danej chwili dana fala przyniesie, nikt nie weźmie mu za złe, że bawiąc się w chwytanie rozmaitych stacji bezplanowo zatrzymywać się będzie na tem, co go przypadkowo zabawi przez chwilę.

Ale to wszystko, to sztuka w powijakach, to bawienie się nową zabawką, to próby rozrywki nowej. Trzeba myśleć o dniu, w którym zajmujące doświadczenia początków przestaną interesować.

Już dziś znamy radjoamatorów, którzy dnia tego dożyli i odbiorniki swe pozamykali. A uczynili źle. Bo właśnie od tego momentu, od chwili gdy namiętność przejdzie, można tem cudownem narzędziem we właściwy sposób zacząć się posługiwać.

W przeogromnem bogactwie programów radjosłuchacz-lampowiec może stworzyć sobie program własny i to na określony przeciąg czasu.

Jeżeli ktoś na przykład jest mało muzykalny to na dorywczem słuchaniu koncertów nic nie skorzysta, przeciwnie: znudzi go to wkrótce. Odwrotnie, nawet przy minimum słuchu, można dojść do całkiem solidnej znajomości i rozumienia muzyki, jeżeli się będzie konsekwentnie i logicznie stosować metodę stopniowania i porównywania.

Tak jak w literaturze trzeba (wbrew może metodom szkolnym) zaczynać od pisarzy współczesnych, by potem skończyć na klasykach, tak w muzyce bezwzględnie należy rozpocząć od klasyków. Wyszukuje się np. wszystko co dotyczy muzyki XVIII-go wieku, a słucha się jej tak, by uchwycić jej cechy charakterystyczne. Jeżeli nie idzie to składnie, to należy posłuchać muzyki modern i natychmiast różnice wystąpią jaskrawo.

Pod tym względem radjofonja dostarcza możliwości kulturalnych takich, jakich dotychczas nigdzie nie udawało się połączyć razem, gdyż **we własnym domu można posłuchać koncertów setek rozmaitych orkiestr.**

Kultura ta stopniowo i konsekwentnie z programów radjowych czerpana zajmie słuchacza przez długie miesiące, rzeczywiście wzbogaci inteligencję jego i rozumienie, wprowadzi danego słuchacza w tajemniczy i przebogaty świat muzyki. W przeciwieństwie do tego, setki audycyj muzycznych chwytanych i słuchanych przypadkowo, nie dadzą absolutnie niczego, lub tylko względną przyjemność słuchową.

Powyższą metodę słuchania radja przenieśmy na każdą inną dziedzinę apercepcji intelektualnej, a otrzymamy, stosownie do upodobań, życzone, czy też zamierzone rezultaty.

Samo przez się rozumie się, że taki racjonalny wybór audycyj radjowych dla rodzin narzuca się poprostu, gdyż winien wykształcenie dzieci uzupełniać, pogłębiać i wzbogacać. W tym wypadku własny program radjowy należy układać jeszcze staranniej, należy unikać wszystkiego coby prowadziło do czczej encyklopedyczności, przeciążać mogło młode umysły bez żadnej korzyści dla ich rozwoju. Dziecko i tak cierpi już przez zbytnie przeładowanie programów szkolnych, wyrabiające w niem raczej skłonność do mechanicznej apercepcji niż do zastanawiania się i refleksji.

Zasadnicza jest różnica między tą kulturą, która wzbogaca naszą inteligencję, a tym strumieniem słów, określeń i faktów, który dostatecznie obficie płynie z każdego, przeciętnego podręcznika.

Z programów radjowych należy wybierać to co dotyczy i pogłębia kulturę w najszerszem jej znaczeniu, a odrzucać te wszystkie informacje, które wrazie potrzeby można znaleźć gdzieindziej.

Oto garść wskazówek: może to zamało, może wyczuwa się, że należałoby pomówić o nich szerzej, każdy jednak radjosłuchacz może z nich skorzystać według własnego przekonania i upodobań. Piszemy o nich, gdyż jest już wielu radjosłuchaczy, którzy się temi metodami kierują, który wykazują, że **właściwe, celowe użytkowanie radja da się ująć w pewne reguły** i że radjowe możliwości dadzą rozwiązać się harmonijnie i skutecznie.

Niestety! Ta praca dobra i pożyteczna ma u nas minimalne zastosowanie. Ogół radjosłuchaczy korzysta z radja bardzo dorywczo i bezplanowo. Słuchacze posiadający odbiorniki kryształowe skazani są coprawda na słuchanie stacji lokalnej, lecz wymagają od niej wyłącznie rozrywki i na ciekawe, kształcące audycje są zazwyczaj głusi. Posiadacze odbiorników lampowych zwykli kręcić kondenzatorem, pasjonują się chwytaniem jak najliczniejszych stacji zagranicznych, lecz interesują ich raczej techniczne możliwości ich odbiorników, zasięg ich i selektywność, treść zaś łapanych fal pozostaje dla nich na planie ostatnim. Jeżeli porównamy słuchanie radja z czytaniem gazet lub wydawnictw perjodycznych i zastosujemy te same metody, to programy radjowe automatycznie staną się dla nas znacznie ciekawsze. W dziennikach prenumerowanych czytamy wszystko co zawierają, poza rubrykami, które specjalnie nas interesują zatrzymujemy się na artykułach i informacjach, które w nich znajdujemy i nie mamy pretensji do redakcji, że w piśmie codziennem drukują równocześnie wiadomości polityczne i gospodarcze, naukowe i sportowe, fachowe i osobiste, zamieszczają feljetony literackie i reklamy (pasty do zębów). Rozgłośnia radjowa natomiast miałaby nadawać całodzienny program interesujący każdego radjoabonenta z osobna? Czytelnik, spragniony wieści z szerokiego świata, artykułów wychodzących bezpośrednio z pod pióra rozmaitych światowych znakomitości, ciekawy na ilustracje i zdjęcia z zagranicy, nie ogranicza się, jak lampowiec, na odczytywaniu nagłówków, że to Ilustracja francuska, a to Sourire lub Graphic, Das interessante Blatt, że to jak w odbiorniku Toulouza a to Mühlacker, lecz czyta, ogląda i smakuje sobie tę odrobinę szerokiego świata, przybyłą doń na lśniących kartach tego czy innego perjodyku. Jeżeliby radjosłuchacz detektorowy słuchał lokalnego programu, jak czyta swego „Kurjerka" lub „Poranną", a lampowicz przy swej superheterodynie zamienił się na bywalca kawiarnianego, który obłożony stosem pism zagranicznych łączy się z Europą, to zadowolonych byłoby niepomiernie więcej, korzyści z radjofonji byłyby prawdziwsze i wzajemne zadowolenie opierałoby się na realnych podstawach.

A. L. C.



Marja Bell, jedna z najpiękniejszych artystek filmu francuskiego.

ŚWIAT KOBIECY

Moda na... młodość

Od dłuższego już czasu moda faworyzuje białe kołnierzyki, mankiety z piki lub jedwabiu, guziki, paski. W nadchodzącym wiosennym sezonie wszystkie te miłe i niedrogie ozdoby będą święciły jeszcze większe triumfy.

Trzeba przyznać, że tym razem pani moda miała bardzo szczęśliwe pomysły, bo przecież nic tak nie nadaje kobiecie wdzięku młodości, jak owe białe, wdzięczne kołnierzyki. A wiadomo, że każdej pani chodzi o to, aby być młodą, aby tę młodość jak najdłużej utrzymać.

Obecna moda dopomaga jej do tego. A jasnem jest, że kobieta może wszystko ze siebie zrobić... a raczej nie, ubranie może z kobiety wszystko zrobić.

Również i kapelusze o podniesionych od czoła rondach nadają wygląd młodzieńczy i niewinny.

Wogóle obecna moda, to moda młodości. Lansowane na wiosnę kostjumy będą miały krój angielski, kolory: granatowe, szare, niebieskie. Nic tak nie odmładza, jak właśnie angielska marynarka sportowego kostjumu.

Uzupełnieniem kostjumu jest bluzka. Bluzki stają się teraz poprostu arcydziełami sztuki krawieckiej. Ujrzymy je w tym sezonie tak wszechwładnie panującemi, że choć pisałam już o nich wiele, temat jest bardzo aktualny ze względu na to, że domy mody pokazują nam tak pomysłowe modele, iż niesposób je przemilczeć.

Do kostjumu biała bluzeczka z piki w zakładeczki, fryzki, lub też bluzeczka w paski, przybrana guziczkami. Koniecznie jasna, utrzymana przeważnie w tonie różowym, niebieskim, rdzawym — bluzeczka bardzo młodzieńcza, — dziewczęca nieomal.

Poobiednie bluzki będą strojniejsze i fantazyjniejsze, zestawione z rozmaitych materjałów. A więc: połączenie matowego jedwabiu, aksamitu i błyszczącego crepe satin. Tak, że np. rękawy będą z crepe satin, przód z matowego jedwabiu, a szeroki pasek z aksamitu.

Lecz nie radzimy paniom aż tak fantazyjnych bluzek, które, żeby były naprawdę ładne muszą być uszyte przez dobrą krawcową z odpowiednio dobranych i zestawionych kolorów.

Lepiej jest hołdować modzie młodości. Więc ciemną suknię lub bluzkę przybrać białym żabotem. Biały żabot święci wogóle triumfy o każdej porze dnia, przy każdej sukni.

I znowu nic bardziej nie odmładza, jak plama białego żabotu, zwłaszcza, jeżeli jest on uszyty z walencienek.

Wiosenne kapelusze, wiosenne czapeczki, bluzki, płaszcze i suknie, wszystko proste, skromne, młodzieńcze.

Tak, moda na młodość. I nic na to nikt nie poradzi, chyba, żeby się wszystko nagle odmieniło i młodość przestała być w modzie. Ale na to się narazie nie zanosi.



Wiosenna sukienka z crepe marocain z białym plastronem.



Najnowsza fryzura paryska: czoło zupełnie odsłonięte, ondulacja na szczycie głowy.

Pranie jedwabnych pończoch

Jedwabne pończochy wymagają starannego prania, ażeby mogły trwać długo. Przed praniem należy je zamoczyć w wodzie z odrobiną boraksu, a potem wycisnąć delikatnie i prać w letniej wodzie w rozgotowanem mydle. Gorąca woda niszczy jedwabne pończochy, którym szkodzi również wyżynanie; trzeba je tylko zlekka wycisnąć i powiesić w przewiewnem miejscu, nie wyżymając.

—o—

Poradnik kosmetyczny

Racjonalna pielęgnacja paznokci jest rzeczą, wymagającą dużo stosunkowo pracy i trudu, zwłaszcza dla kobiety uprawiającej rozmaite sporty i prowadzącej życie bardzo czynne.

Ideałem każdej kobiety są paznokcie gładkie, lśniące, o naturalnym bladoróżowym odcieniu. Komu matka — natura poskąpiła na tem polu, — musi starać się o uzupełnienie względnie „poprawienie" tych braków.

A więc: lakierowanie paznokci. Zasadniczo nie można nic zarzucić tej modzie, która zresztą powszechnie się przyjęła. Idzie tylko o zachowanie właściwej miary. Lakier koloru żywo czerwonego nadaje się dla brunetek o śniadej cerze; natomiast blondynki — te prawdziwe blondynki z cerą jasną, — mają do dyspozycji całą gamę odcieni różowych. Za zasadę przyjąć należy, że zbyt intenzywny kolor paznokci jest poniekąd antytezą tego czysto kobiecego wyrafinowania na punkcie kosmetyki, które nakazuje staranne pielęgnowanie paznokci codziennie, — nie zaś powleczenie go mocnym lakierem tylko raz na tydzień.

W związku z modą lakierowania paznokci wyłania się druga kwestja: zauważono mianowicie, że skutkiem używania lakieru paznokcie stają się kruche i łatwo łamliwe. I nietyle jest to winą lakieru (naturalnie o ile używamy lakieru w najlepszym gatunku), jak raczej tych płynów, stosowanych do zmywania lakieru. Dlatego jest rzeczą konieczną natychmiast po usunięciu lakieru obmyć starannie ręce w wodzie z mydłem.

Z chwilą, gdy paznokcie stają się łatwo łamliwe, trzeba codziennie na jakieś pięć minut moczyć je w olejku ze słodkich migdałów, a następnie lekko masować.

Paznokcie stają się jednak kruche i łamliwe również pod wpływem pewnych chorób nurtujących organizm, — przedewszystkiem chorób piersiowych. W tych wypadkach trzeba oczywiście zwrócić się do lekarza, — tylko bowiem usunięcie źródła choroby może usunąć i jej następstwa i objawy.

Tzw. „kwitnięcie" paznokci (białe plamki pojawiające się pod paznokciem, świadczą zazwyczaj albo o anemji, albo o schorzeniu ustroju nerwowego. I tutaj tylko lekarz może dać skuteczną pomoc i radę.

Co się tyczy obcinania paznokci, jest rzeczą powszechnie już znaną, iż nie powinno się obcinać, lecz przypiłowywać odpowiednim pilniczkiem.

Wreszcie jeszcze jedna rada: Na umywalni znajdować się powinna stale — obok mydła — połówka świeżej cytryny. Po obmyciu i obtarciu rąk należy co dnia nacierać paznokcie sokiem z cytryny, a po chwili wytrzeć je do sucha.

O kostjumach wiosennych

Prześliczne są materjały, przeznaczone w nadchodzącym sezonie na kostjumy: z powierzchnią gładką, jak aksamit, włochate, a zarazem cienkie, nowe rodzaje jersey'u i wiele innych gatunków ciepłej wełny. Klasyczna angielska marynarka, trzyćwierciowe palto lub luźne sak-palto — wszystkie te rodzaje reprezentowane są w wiosennych kolekcjach.

Obszycia z płaskiego futra podnoszą jeszcze elegancję wiosennego kostjumu.

A oto ciekawy rozdział z dziedziny kostjumu: bluzka. Począwszy od koronkowej bluzki, poprzez bluzki z lekkiej wełny, lub z jedwabiu do ręcznie szydełkowanego dżemperku — moda haftuje na kanwie tego tematu najrozmaitsze fantazje. Są więc bluzki ze skóry, bluzki z lekkiego zamszu, z duvetiny, z weluru — każda z nich obmyślona w ten sposób, iż tworzy szykowną całość z kostjumem, który uzupełniony paru drobiazgami należy do najbardziej ulubionych strojów w sezonie jesiennym czy wiosennym.

—:o:—

Skromna sukienka domowa

Potrzeba na nią: 2.75 mtr. crepe de Chine, szerokości 80 bm., oraz 1 mtr na szarfę.

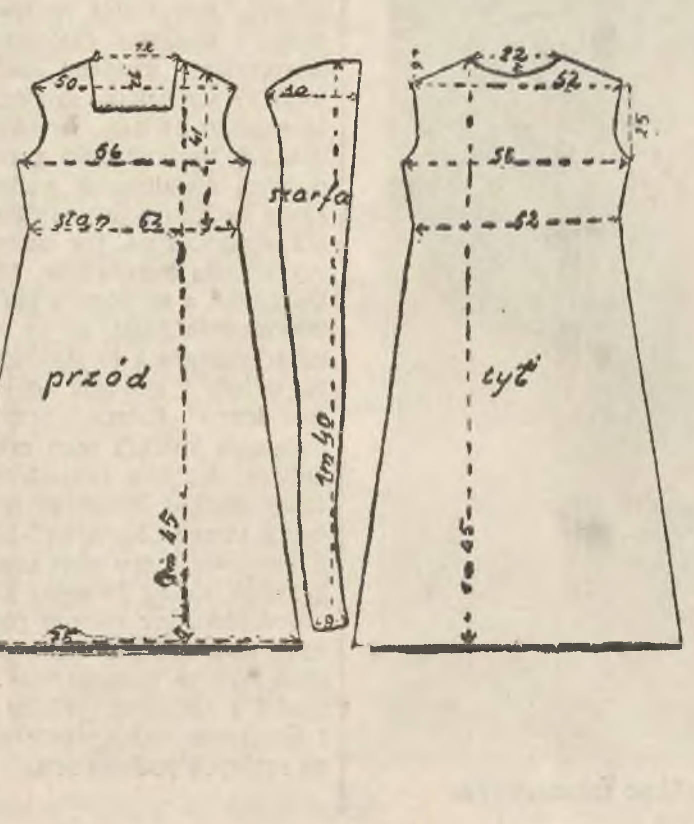
Całe 2.75 mtr. przecinamy w połowie szerokości na dwie połówki. Przód wykrawany według rysunku, rysując poprzednio na rozłożonym płasko materjale kredą wycięcie na dekolt w żądanej wysokości. Na ramionach ścinamy skośnie, — wycięcie pod pachami półokrągłe.

Z tyłu na karku wycięcie półokrągłe, — zresztą pod pachami i w stanie tak jak z przodu.

Na szarfę odcinanmy odpowiedni kawałek żądanej szerokości, przyczem do dołu powinien być nieco szerszy.

Popod pachami szelki, podtrzymujące szarfę.

Sukienka ta, choć skromna, wygląda bardzo elegancko i ładnie.





Potrawka z kurcząt z ryżem

Oczyszczone i wypłókane kurczęta włożyć do garnka z posoloną wodą i gotować wraz z włoszczyzną w krótkim sosie na wolnym ogniu pod pokrywką. Osobno ugotować na wodzie solonej ryż na sypko, dodawszy do niego łyżkę masła. Gdy ryż już ugotowany, wyjąć kurczęta pokrojone w ćwiartki, ułożyć je na półmisku i zalać sosem.

Sos przyrządza się w następujący sposób: łyżkę masła zasmaża się z łyżką mąki i rozprowadza się rosołem w którym się gotowały kurczęta, dodaje się łyżeczkę miałkiego cukru, sok z połowy cytryny i zaprawia dwoma żółtkami.

—o—